

St. ŻÓŁKIEWSKI
Rozmowa
z LOUIS ARAGONEM
A. BRAUN
K. GRUSZCZYŃSKI
J. ŻUŁAWSKI
A. JACKIEWICZ

KUŹNICA

Cena 25 zł - 8 stron

Warszawa, 16 października 1949 r.

Nr 41 (213) Rok V

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Jak filozofia w proletariacie
znajduje swą broń material-
ną, tak proletariata znajduje w
filozofii swą broń duchową.

KAROL MARKS

MIECZYSLAW JASTRUN

W WALCE O SZCZĘŚCIE ŚWIATA

BYŁOBY kłamstwem twierdzić, że dopiero ludzkość naszego wieku doświadczyła czym jest wojna, albo że dopiero nasze pokolenie poznało do dna grozę i okrucieństwo triumfującego napastnika. Zapewne, zmiana perspektywy, z której patrzmy na wypadki, nie pozwala nam odczuć w pełni wydarzeń minionych lub bardzo odległych. Kto z nas potrafi dziś płakać po zabitych i spalonych w murach Kartaginy albo poległych w wojnach napoleońskich? Ogromny horyzont historii zaciera szczegóły w swej przestrzeni, w której już nie ma powietrza dla żywych. Przestrzeń i czas są wrogami naszego współczucia. Najokrutniejsze zbrodnie tracą swoją wymowę, gdy dokonywane są w dużej odległości od nas, a co dopiero w abstrakcyjnej strefie minionego czasu.

W biblii są w dobrej wierze pisane sceny wojujące o pomstę do sprawiedliwości, mity greckie pełne są nieludzkiego okrucieństwa, ale w pamięci naszej pozostało na wpół idylliczne wyobrażenie o narodach pasterszy i posągów. Próby rewizji tego konwencjonalnego obrazu nie docierają na ogół do świadomości powszechnej.

Nawet pierwsza wojna światowa już nie ma dla nas tej siły wyrazu, którą odnajdujemy jeszcze choćby w „Ogniu” Barbuse’a. Jej obraz nabiera groteskowego charakteru, jej stare mundury i broń anarchiczna.

Minie jeszcze czas jakiś i kto wie czy z całej tej imp. alistycznej popei nie pozostanie jedynie rycerz Szwejk, Zagłoba cesarsko-królewskiej armii...

Ta krótka pamięć ludzka pozwalała rządcom państw i władcóm narodów znawiać rzezie milionów. Wystarczy niedługi okres lat dwudziestu, tyle, ile trzeba, aby narosło nowe zgiekliwe życie, aby zniknęły ruiny i nad bezimiennymi grobami zatrzymowało zapomnienie, wystarczy czasem lat dziesięć. Pacyfizm, który narodził się po pierwszej wojnie europejskiej, wołał o litosć dla człowieka, apelował do sumień jednostek, nie wskazał jednak wyraźnie i jednoznacznie przyczyny powtarzających się w dziejach ludzkości masowych zbrodni. Był słaby, bo rezygnował z walki, był tchórzliwy w myślach i wnioskach. Czuli ohydę wojny imperialistycznej, nie tłumaczył jednak milionom zwykłych ludzi, którym wepchnięto do rąk karabiny, kto tą straszliwą maszyną kieruje, w czym interesie cierpią i giną, i dlaczego ich poświęcenie jest daremne, bohaterstwo — bezowocne. Taka postawa pacyfistów nieraz wykorzystywana była do celów zgoda sprzecznych z interesami pokoju.

Niedostateczne uświadomienie mas ludności różnych krajów, potęga aparatu administracyjnego, działająca pewnie i szybko maszynieria przemocy — wszystko to pozwalało posępnym władcom życia i śmierci milionów prostych ludzi prowadzić wojny dla celów, które nie były celami milionów prostych ludzi.

Właściwe cele wojen ukrywane były i są przed oczami przeciętnych obywateli państw rządzonych przez wielki kapitał. Cały arsenał środków służy tej nieciernej sprawie. Jak w klasycyzujących dziełach rzeźby i malarstwa, sięgała propaganda ideologiczna do rzymskich przebrań i do retoryki zgoda szekspirowskiej. Hitler, mimo że szermował również hasłami obrony cywilizacji, zmuszony był z otwartym cynizmem mówić zwyczajnie o „przestrzeni życiowej” dla Niemców, nie mógł ukryć swych nazbyt już jawnych imperialistycznych celów. W zamian usiłował rozpalic wyobraźnię swych wyznawców widokiem ziemi obiecanej, tysiącletniego panowania Rzeszy. Ale dzisiejsza dyplomacja i propaganda anglo-amerykańska znów wróciła do idealistycznej stylizacji. Znowu pojawiło się hasło „obrony cywilizacji” — oczywiście przed komunizmem.

Kto jednak sięgnie do zbyt mało jeszcze znanej u nas książki Williama Vogta (Nowy Jork 1948 r.) „Droga do zbawienia”, ten zobaczy, że nie mówi się tam o zbawieniu ludzkości, lecz po prostu mówi się tam o konieczności wytypienia pewnej liczby ludzi, gdyż dla wszystkich nie ma miejsca na ziemi (czytaj — na ziemi rządzonej przez władców kapitału).

W tej samej książce pisze Vogt: „Zapasy rudy cynowej są ograniczone i może trzeba będzie wojować o dostęp do zapasów cyny”. Również „bogactwa naftowe Azji” wydają się Vogtowi dostatecznym powodem do wojny. Tak że w tej „Drodze do zbawienia” znajdują raz jeszcze potwierdzenie słowa „Książki Narodu i Pięgrzymstwa” o królach, którzy biją się o port i wór bawelny.

O tych troskach i planach krzyżowców cyny i nafty mówił na Kongresie Paryskim Fadjiejew:

„Znajdzie się może jakiś naiwny Anglik, który uwierzy, że broń atomowa i pakt atlantycki są po to, by bronić kultury angielskiej i starego humanizmu angielskiego. Lecz lektura Williama Vogta przekona każdego, że twórcy broni atomowej i paktu atlantyckiego traktują z wgardą zarówno naród angielski jak i wszystkie inne narody...”

Rzeczywiście Vogt uważa, że jedyną drogą do zbawienia na przykład dla Chin

jest głód — środek przeciw przeludnieniu. Na poparcie swojej tezy powołuje się Vogt na starożytnych Greków. Jest rzeczą przerażającą, że w kilka lat po zniszczeniu państwa Hitlera odzywają się takie głosy w kraju, który rości sobie pretensje do miana przedstawiciela kultury współczesnej. O, straszliwa ironia czasów, gdy czyste idee humanizmu stały się liczmanem w rękach handlarzy cyny i eksploatatorów nafty! Obronca kultury Zachodu powołuje się na starożytnych Greków, którzy walczyli z przeludnieniem przy pomocy dzieciobójstwa, prostytucji, kolonizacji!

Aby zrozumieć tło tych wynurzeń, wystarczy cofnąć się o kilka lat, do chwili, gdy bomba atomowa spadła na Hiroszimę. rrezydent Truman oświadczył wtedy: „Podaje się do wiadomości publicznej, że pierwsza bomba atomowa została zrzucona na Hiroszimę, która jest bazą wojskową. Uczyniliśmy tak, ponieważ nade wszystko i w granicach możliwości pragnęliśmy uniknąć strat w osobach cywilnych”.

Równocześnie jednak oficjalny komunikat podawał: „Hiroszima i Nagasaki zostały obrane jako cele zrutu atomowego z powodu gęstej koncentracji obiektów i ludności”.

Zestawienie tych dwóch komunikatów jest pełne jakże drugoczącej wymowy! Fałsz humanitarnego frazesu, hańba obłudy dyplomatycznej całych stuleci ukryte są w tych kilku zdaniach.

Tak zaczęła się zimna wojna atomowa ze Związkiem Radzieckim, aż do chwili gdy okazało się, że nie tylko Ameryka jest w jej posiadaniu...

Broń atomowa miała posłużyć jako walny argument obrońców kultury zachodzącego niesławnie świata. Obłuda, przekierowanie i odwracanie faktów i najprostszyszy pojęć miały służyć sprawie obrony prawdy wladców kopalni i fabryk.

Liczone na głupotę prostych ludzi, nie bojąc się rażących niekonsekwencji i po-

tknięć. Oto widok, który obraża godność ludzką. Nie wolno nam jednak odwrócić oczu od tego widoku. Nie wolno zamknąć uszu na urągające zdrowemu rozsądkowi ludzkości i jej poczuciu moralnemu Głosy Ameryki i Anglii. Ideolodzy hitlerizmu zaczęli również od takich godnych pogardy teorii, póki nie oddali wcielenia ich w życie praktykom, którzy zaczęli od dynau z pieców krematoryjnych.

Lecz sytuacja świata jest w tej chwili historycznej inna. Ludy świata po zwycięstwie nad faszystym są przygotowane do obrony pokoju. Związek Radziecki, demokracje ludowe Chin i krajów europejskich przeciwstawiają się całą swoją potęgą próbom tych, którzy chcą rozpalic łuny nowej wojny nad ładami i oceanami.

Organizowane dzisiaj kongresy Obrony Pokoju — to nie zbory modlących się o pokój, to rewia sił moralnych i materialnych ludów, które chcą budować świat nowy, a nie chcą burzyć miast i kultur, co wydają się nam stare i niewzruszone jak gwiazdy. Ludy te mają za sobą przede wszystkim przewagę moralną. Jakaż walka może być szlachetniejsza od walki o pokój i szczęście ludzkości? Jakaż prawda może być bardziej nieodparta od tej, że człowiek nie chce umierać z ręki drugiego człowieka, że chce żyć w braterstwie z innymi ludźmi?

Kłamstwem byłoby twierdzić, że historia ludzkości była kiedykolwiek sielanką, kłamstwem jest mit arkadyjski, ale większym kłamstwem byłoby wyciągnąć stąd wnioski, że dążeniem ludzi pracy, budowniczych miast i kultur wszystkich czasów nie było szczęście na ziemi, którego być nie może, dopóki trwają wojny, dopóki trwa przemoc człowieka nad człowiekiem, narodu nad narodem.

Nie wolno nam zwątpić ani na chwilę, że to dążenie może być spełnione. Trzeba, aby każdy z nas mógł powtórzyć te piękne słowa Marii Curie:

„Należę do ludzi, którzy silnie w to wierzą, że nauka i pokój zatrzymują nad ciemnotą i wojną”.

I nie wolno nam zapominać o tym, że geniusz naszego narodu Adam Mickiewicz w walce o szczęście swej ojczyzny wyzwał wszystkie potęgi, w których uosabiał sens życia, po to tylko, by wydrzeć im dobry ogień i znieść go na ziemię, aby służył ludziom.

II

Minął czas, kiedy niektórzy pisarze uważali swoją nieobecność na tak zwanym przez nich pogardliwie „targowisku świata” za zasługę i za jeden z uroków ich sztuki. Minął czas, gdy esteci aleksandryjskiej nowożytności Europy z przekąsem mówili o działalności politycznej Victora Hugo lub Romain Rollanda, gdy lekcewazyli satyrę polityczną Heinego.

Już pierwsza wojna światowa obnażyła podstawy aleksandryjskiej epoki w sztuce i literaturze nowych czasów.

Jeden z największych mistrzów słowa niemieckiego, wielki samotnik Rainer Maria Rilke powitał wówczas wybuch katastrofy dziejowej hymnem, w którym zachwycał się widokiem powstającego w blasku pożarów boga wojny. Zachwycał się każdym pożeganiem, które w tym blasku okrutnym nabierało szczególnie wyroczonego znaczenia. Podziwiał lzy, które płynęły znowu prawdziwie i obficie. Słyszał w placu i w skardecie rozstań głos „wiecej” ludzkości, nie rozumiał sensu wydarzeń, które działy się wokół niego... Kiedy później zaniknął się w samotni szwajcarskiej, unikał spotkań z Romainem Rollemem mieszkającym wówczas obok niego, nie miał bowiem sobie nic do powiedzenia. „To prawie filantropia” — mówił z pobłażaniem o pisarstwie autora „Jana Krzysztofa” Rainer Maria Rilke.

„Jako pisarz — powiedział Ilja Erenburg na wiosennym kongresie w Paryżu —

pragnąlbym mówić o literaturze, o czarach słowa, o poetach i amatorach książek. Ale mówić będę o czym innym — o tej zmurze, która jak czarna chmura zawisła nad światem. Będę o tym mówić, gdyż nowi barbarzyńcy zagrażają dziś wszystkiemu, co mi jest drogim: pożytkom inkunabułom w księgozbiorach Europy i dziecięciu, które otwiera po raz pierwszy elementarz, Puszkiniowi i Ronsardowi, Luwrowi i Uffizjom, drzewu, którym zachwyca się poeta, i samemu poecie, ogrodom i miastom, które zrodziła cała nasza piękna stara kultura.

Czyż można mówić teraz o czym innym?”

Oto dwa przeciwstawne stanowiska pisarzy. Wzgardliwe nazwanie natchnionego służbą publiczną pisarstwa — filantropia, i pojmnowanie sztuki pisarskiej jako oręża w walce o pokój i szczęście ludzkości! Pozorny obiektywizm wobec zjawisk życia i śmierci, oglądanych z odległości, jak konstatacje gwiazd nieczyliwych na losy człowieka, i namiętne ukochanie wszystkiego co ludzkie!

Wielkie tradycje naszej literatury znają dobrze tę humanistyczną, walczącą postawę pisarza.

Dla tych ideałów poszedł na wygnanie Frycz Modrzewski, pisarz, który rozumiał kulturę humanistyczną lepiej od innych, właśnie wtedy, gdy zamiast rozprawiać z cieniem Platona o nieśmiertelności duszy „zniał się” do tak poziomego tematu, jak nędza i niewola chłopów polskich. Rozumiał ją należycie Jan Kochanowski, gdy „zniał” swoją horacjaną sztukę do spraw wolności sumienia a nawet zgoda do kwestii obronności granic Rzeczypospolitej. I któż dzisiaj powie, że Mickiewicz redagując „Trybunę Ludów” nie pozostał wierny swojej poezji? Kto żałuje, że Stowicki oprócz poematu szwajcarskiego napisał „Odpowiedz na Psalmy Przyszłości”? Kto nie doceni wielkiego wysiłku Zeromskiego, który uwikłany w tysiące błędów i pomyłek, przebił się z trudem ku świadomości politycznej; ku wiedzy o swoim czasie?

Nasza literatura od początków swego istnienia wiedziała, że musi być sumieniem narodu, nie tylko ozdoba.

Okresy, w których ulegała zdobniczym pokusom, gdy rezygnowała z walki o postęp narodu i ludzkości, okazały się najmniej trwałe, choć wówczas artyści najwięcej trudu wkładali w utwory swoje, aby ośniewały bezinteresowną pięknoscią.

Posłuchajcie jakie huragany przeciągają przez dzieła Sofoklesa, Ajschylosa, Dantego, Mickiewicza. Wszyscy oni dawali świadectwo prawdzie, piętnowali kłamstwo, wstrząsali sumieniami, każdy mową swej epoki.

Polska, która jak może żaden inny kraj musiała walczyć o każdy prawie dzień swego życia, wiele zawdzięcza swemu piśmiennictwu. Pisarze polscy dzielili zawsze los swego narodu, w każdym pokoleniu pobierając surową lekcję historii, nie szczędząc bolesnych doświadczeń. Za błędy i pomyłki swych rządów płacił cały naród nie jeden raz najwyższymi ofiarami. Ponośła również ofiary literatura, w której w czasach niewoli „lud składał broń swego rycerza”. Nie tylko nasi działacze polityczni i wodzowie powstań w XIX wieku, ale również poeci, owi „aniołowie wolności”, umierali na wygnaniu.

Dzisiaj, gdy stare potęgi Świętego Przymierza znów się organizują przeciw ludom świata, dzisiaj, gdy osiwalili w zbrodniach władcy starej Europy i nowej Ameryki mającej o niesłychanej i niewidzianej masakrze ludów, literaturze nie wolno pod karą samouniecienstwa zamknąć się w pałacu cesarów, który jutro może obrócić w proch broń atomowa.

Walcząc o pokój i zdrowie ludzkości, bronimy zarazem różny Ronsarda, lutni Jana Kochanowskiego i jambu Puszkina.

III

Zawsze największą chwałą poetów była odwaga myśli i słowa. Gdy triumfowało wstęcnictwo, gdy panoszyła się przemoc, nieraz głos poety budził śpiących, przywykłych do noszenia jarzma, przedierał się przez kordony graniczne oddzielające ludzi wolnych różnych krajów.

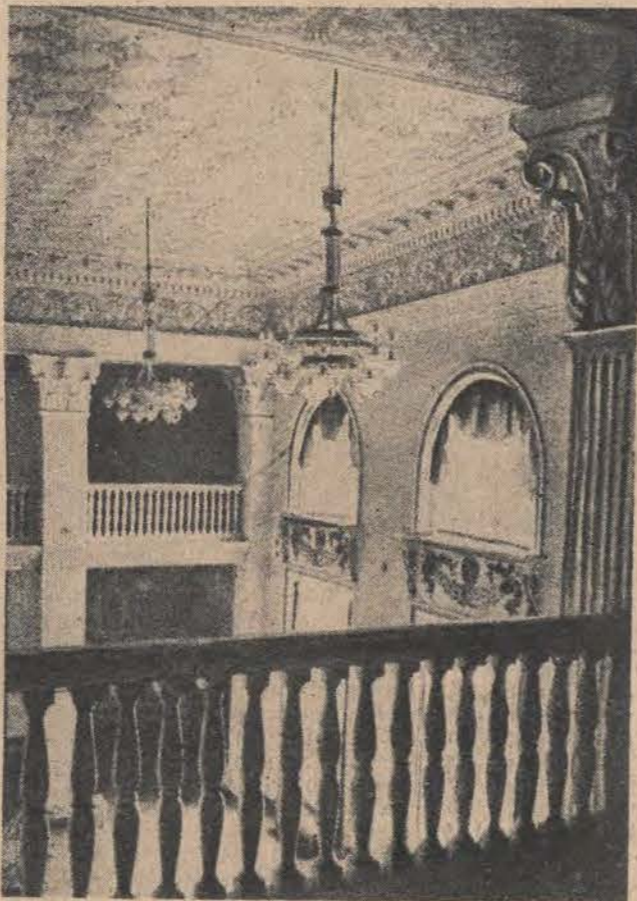
Tak po powstaniu listopadowym, piękny, odważny głos poety rosyjskiego Odojewskiego słauił walczących o wolność wbrew usłużnym lirom dworaków, tak wówczas wbrew rządóm reakcyjnych książąt niemieccy poeci pisali „Polenlieder”, tak w sto lat później poezja polska w najcięższym ucisku okupacji hitlerowskiej zasyłała podzwonienie wszystkim walczącym z przemocą wroga.

We Francji czasu wojny poezja Ruchu Oporu zagrzewała do boju, towarzyszyła walczącym. Cała poezja Aragona z tego okresu — to podbuka wojenna, to protest przeciw gwałciociom wolności. Dzisiaj we Francji wywołanej spod władzy Niemców, we Francji pod „skrzydłami opiekuńczy” Ameryki — Louis Aragon, poeta wolności, pozabawiony został praw obywatelskich. Ten haniebny dekret wywołał oburzenie wśród wszystkich, którym wstrętnie są metody faszystowskie, wśród wszystkich, którzy wiedzą, że za tym wyrokiem sądowym, skazującym poetę ludu francu-

KRAJ SOCJALIZMU BUDUJE POKÓJ



Teatr w Nowosybirsku



Wnętrze Domu Kultury w Zlatouście na Uralu



Sanatorium w Soczi na ptn. Kaukazie

(Dokończenie na str. 2)

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

Przykład literaturoznawstwa radzieckiego

RACHUNEK NIE TYLKO OSOBISTY

Przelom ideologiczny, który przyniósł zesłoroczne plenum sierpniowe KC PPR i Kongres Zjednoczeniowy partii robotniczej, pchnął także naszą postępową i zwłaszcza partyjną krytykę literacką na drogę konsekwentnych marksistowskich sądów i badań. Stwierdzi to każdy czytelnik pism krytyczno-literackich sprzed dwu lat i z okresu ostatniego roku. Postępowa część krytyki polskiej przeszła niewątpliwie wielką szkołę marksistowskiej, myśli partyjnej, szkołę proletariackiej walki o wszechstronny i konsekwentny postęp. Ale daleko jesteśmy od pełnego sprostanania zadaniom, które przed krytyką literacką postawił ruch robotniczy. Mówią o tym liczne jeszcze czasami nie dojrzałe, czasem wręcz zaoferne artykuły nawet w naszej postępowej prasie literackiej.

Rozumiem, iż przeżywanie trudną i w psychologicznym tego słowa znaczeniu długą drogę. Gdy z perspektywy moich ostatnich rozważań literackich — przemysłam moje artykuły nawet sprzed półtora roku, żeby nie sięgać do pierwszych prób pisarskich, widzę, jak potężnym bodźcem intelektualnym był zesłoroczny przelom ideologiczny, jak wielką był pomocą przy uzyskaniu konsekwencji nowoczesnego sędu literackiego. Np. półtora roku temu, pojmując zasadniczo proces degenerowania się kultury burżuazyjnej epoki imperializmu, miałem te sprawy, jak widzę dziś, zupełnie nie przemysłane do końca. Błąkałem się w zaskakujących oportunistycznych kompromisach (patrz choćby artykuł z „Kuźnicy” 1.V.48 r.). Nie rozumiałem dostatecznie konsekwentnej partyjnej krytyki tej kultury, krytyki, z którą się stykałem. Bogactwo ideologicznych bodźców, pogłębienie polskiej myśli marksistowskiej, które przyniosła jesień zesłoroczna, pozwoliło mi w całym przekonaniu wyrobić sobie całkowicie dziś negatywny sąd o tej schyłkowej kulturze.

Alle wiele spraw szczegółowych zostało we mnie nieprzemysłanych do końca. Na przykład: pisałem przed paru miesiącami w „Kuźnicy” o antologii poezji ariafskiej. Późniejsza recenzja dr. Kormanowej w „Nowych Drogach” pokazała mi, że nie zauważyłem wielu braków tej książki — oczywiście dla konsekwentnej, marksistowskiej krytyki. A przecież gdybym sięgnął wtedy do radzieckiej książki Smirina o reformacji, lepiej bym zrozumiał to zjawisko i trafniej ocenił recenzowaną pracę. Piszę te szczegóły — dla przykładu — żeby nie operować mało wymownymi ogólnikami. Piszę zaś o swoich błędach, bo starałem się je najlepiej poznać. Ale powtarzam, mam podstawy, aby mniemać, że dadzą się te osobiste spostrzeżenia uogólnić.

Umiabym zacytować podobne przykłady również z działalności krytycznej innych postępowych badaczy literatury. Sądzę bowiem, że nie tylko za mało pogłębiona i po marksistowsku konsekwentna była nasza praca, ale za mało uczylimy się od radzieckiej nauki o literaturze, z radzieckich dyskusyj o krytyce literackiej.

NIEKÓRE AKTUALNE BOLAŹKI POLONISTYKI

Słyszę narzekania. Nauczyciele nie mają książek pomocniczych, które by im ułatwiły realizację nowych programów szkolnych. Brak historii literatury w szkole. Szkoła musi korzystać z czasopism literackich, nie przystosowanych na ogół treścią, zakresem, nawet językowo do jej potrzeb.

Kluczowe zagadnienia historii literatury leżą odłogiem. Są zagadką dla nauczycieli i kulturalnego ogółu. Przykładem Żeromski. Nie wyszliśmy w tym zakresie poza publicystykę i jałowe formalistyczne katalogi ornamentów literackich jego dzieł. Wizytatorzy szkolni boleją zarówno nad rutyną jak i nad gorliwą ignorancją. Tradycyjna rutyna przemilcza demokratyczne tradycje literatury polskiej. Gorliwa ignorancja zalicza w ezambul wszystkich pisarzy do rewolucjonistów. Rutynista zna tylko Mickiewicza-mistyka, Prus zaś „dojrzwą wewnętrzną”, gdy rzucymy za postępowego programu, gdy zamiast surowej i pięknej „Lalki” — pisze niedołężne, fałszywe, paszkwilanckie „Dzieci”. Gorliwy ignorant natomiast zapomina o klasowej ograniczonej postępie mieszczańskiej i gotów malować Prusa w jednym bojowym szeregu z Gorkim. A jakże ciemny, Orzechowski, wróg postępowych, reformacyjnych ruchów swoich czasów, bywa traktowany jako pisarz postępu, bo się... ożenił i kłócił z księżmi! Od czasów Smoleńskiego, od osiemdziesięciu lat, nikt nie zajął się głębiej naszą dumą: reformatorską publicystyką końca XVIII wieku. Mamy książkę (też nie nową!) o ostatnich latach Kollataja — zlamanego i spotwarzanego, nie znamy natomiast jego bojowej dojrzałości. Długo by tak można wylać. Oświatowcy żalą się, że nawet łatwe prace — czekają, od lat nie są podejmowane. Nikt nie planuje tych przedsięwzięć naukowych. Sam wiem o kilku doktorantach (!), którzy po szerokiej Polsce szaleją jeden w drugiego o estetyce Hipolita Taine'a. Pytam, co przeciwny młodziak-doktorant może o tym nowego napisać? Znamy już to żalono widowisko. Patrz przedwojenną książeczkę Jana Lempickiego o Taine'ie, starannie powtarzającą dobrze znane sądy André Chevrillona. Paru ludzi tłoczy się — do Taine'a, jak malcy Dickensowsy do zabitości.

Z tego punktu widzenia musimy spojrzeć na polską tradycję literacką. Myślę, że przodujący odłam polonistów będzie umiał wykazać, iż jest to jednoznaczne z postulatem klasowej interpretacji literatury. Dawna historia literatury rozwiązywała te zagadnienia zgodnie z ideologią burżuazyjną. Proszę wziąć prace o pozytywizmie — gloryfikują twórczość pozytywistów po przedłomie, gdy już odlegli się oni ze swoich awangardowych pozycji, pod wpływem nowego rozwarstwienia klasowego i rosnącego, samodzielnego ruchu robotniczego. Trzeba stanowczo powiedzieć: historia literatury nie była i nie jest domena jakiegokolwiek „obiektywizmu”. W cytowanych przykładowo pracach o pozytywistach i Prusie gloryfikuje się przelom religijny tych pisarzy: chociaż były to...

tego okienka w domu burmistrza Nupkina, a najpilniejsze tematy leżą odłogiem. Np. nie zrobione są łatwe monografie ważniejszych czasopism XIX wieku, bez których ani o Żeromskim ani o Prusie nie się sensownego nie powie.

Maluje czarny obraz — bo taki jest. Nie znaczy to jednak, by sytuacja była zanedbana. Ministerstwo Oświaty podjęło szeroką akcję — tworząc nowe programy, szkoląc z imponującym rozmachem nauczycieli, powołując Instytut Badań Literackich — zamierzony jako ośrodek celowej pracy badawczej. Lecz akcja ta nie przenika jeszcze dość głęboko w środowisko polonistycznego aktywnego naukowca. Opracowano już nowe programy nauczania uniwersyteckiego polonistyki — ale seminaria filologiczne do dziś żyją starymi tradycjami. Niedostatecznie szeroki krąg starszych i młodszych zwłaszcza badaczy objęty został ideologią uwolnienia polonistyki, związania jej z życiem społecznym, z postępową ideologią naukową, z polityką kulturalną Polski Ludowej. Trzeba szerokiej i śmiałej ofensywy pod tymi hasłami.

GŁÓWNE ZADANIA FILOLOGII

Filologia służy poznaniu, ocenie i przyswojeniu tradycji kulturalnej, służy ideologicznej pracy tworzącej współczesną kulturę.

Co do pierwszej sprawy. Tworząc nową kulturę — chcemy ją nasycić dziedzictwem kulturalnym. Lecz zasadą naszego stosunku do przeszłości jest wybór.

Wybieramy tradycje postępowe, humanistyczne, twórcze.

Podstawowym zagadnieniem poznawczym i politycznym wobec przeszłości kulturalnej jest rozpoznanie: co było w tej przeszłości postępowe — a co wsteczne. Który pisarz może przeto służyć udokoleniu współczesnego życia, a który przez swe wsteczństwo nie będzie zdolny służyć nowemu życiu.

Wobec przeszłości kulturalnej musimy spojrzeć na polską tradycję literacką. Myślę, że przodujący odłam polonistów będzie umiał wykazać, iż jest to jednoznaczne z postulatem klasowej interpretacji literatury. Dawna historia literatury rozwiązywała te zagadnienia zgodnie z ideologią burżuazyjną. Proszę wziąć prace o pozytywizmie — gloryfikują twórczość pozytywistów po przedłomie, gdy już odlegli się oni ze swoich awangardowych pozycji, pod wpływem nowego rozwarstwienia klasowego i rosnącego, samodzielnego ruchu robotniczego. Trzeba stanowczo powiedzieć: historia literatury nie była i nie jest domena jakiegokolwiek „obiektywizmu”. W cytowanych przykładowo pracach o pozytywistach i Prusie gloryfikuje się przelom religijny tych pisarzy: chociaż były to...

wyrazem ideologicznego cofania się, stygnięcia zapachu reformatorskiego, nazywa się je uzyskiwaniem harmonii wewnętrznej i dojrzałości. Zresztą tradycyjna historia literatury wysuwa na czoło pisarzy wstecznych. To Klaczko i Tarnowski doczekali się monografii, a nie Smoleński i choćby Chmielowski.

Rozkład mieszczańskiej humanistyki w XX wieku zwiózł zakres zainteresowań polonistów! Nie mówię o przyczynkarstwie. Zaczęło się „konstruowanie typów duchowych” pisarzy, estetyzowanie, formalizowanie — pusta, jałowa scholastyka. Żyje się ocenami naszych dziadków i mistycyzmem Feldmana. Problematyka stosunku pisarza do postępu i wsteczństwa jego czasu jest nietykana. Mieszczańskiej nauce ostatniej doby zabrakło na to dość szerokiego kryterium. Zostało jej kryterium obojętne wstrząsania estetycznego lub stosunku do schyłkowych, fideistycznych i irracjonalnych tendencji mieszczańskiej kultury. Przeciwnością się temu stanowi rzeczy nieliczni młodzi postępowi krytycy związani z marksizmem. Grono ich musi urosnąć. Tylko wtedy bowiem polonistyka odpowie potrzebom życia kulturalnego i szkoły. Tylko wtedy będzie można rzucić wśród filologów sparafrazowane hasło szerszego zjazdu literatów „niech polonistyka współbuduje socjalizm w Polsce”.

A teraz druga sprawa: filologia służy również ideologicznej pracy tworzącej nową kulturę.

Polonistyka była dotychczas za mało związana ze współczesnością. Stronił od aktualnej produkcji literackiej, od jej problemów uniwersyteckich, stronił badacz. Trzeba uwspółcześnić naszą polonistykę, jeśli ma spełnić swe zadanie społeczne.

GDZIE SIĘ UCZYĆ?

Nie potrzebuję chyba nawet bardzo nieodpowiedzialnym czytelnikom radzieckich prac naukowo-literackich szeroko uzasadniać, jak wiele można się z nich nauczyć, jeżeli chodzi o historyczną trafność i wielkość ocen, o prawdziwe nowatorstwo naukowe, naukową ścisłość, rozmach badawczy, związek nauki z życiem, szkołą, współczesnością, torowaniem drogi nowej literatury swojej epoki.

50 tomów wydawnictwa „Literaturnoje nasledstwo” mówi, jak starannie i z jakim pietyzmem i przenikliwą znajomością nurtów historycznego postępu radziecka nauka o literaturze wywypukła postępową tradycję swego kraju. Liczne skomentowane wydania nawet drugorzędnych pisarzy świadczą, jak ta tradycja została upowszechniona i uprzedmiotwiona czytelnikowi.

O pisarzy, poczynając od największych, od Puszkina (patrz praca Mejlacha z 1937 r.) czy Gribjedowa (patrz rozdział wstępny w książce Nieczkajew „Gribjedow i dekabryści” z r. 1947), stożąc się do walki z burżuazyjną nauką fałszującą ich wielkie postępowe dążenia. Kto przeczyta choćby cytowane w nawiasach książki, zrozumie kult w Związku Radzieckim demokratyczno-rewolucyjnej krytyki rosyjskiej XIX wieku z wielkim Bielińskim na czele. Ich bowiem śmiała i trafna rewolucyjna myśl pomogła zwycięsko uporać się z balastem rozkładającej się burżuazyjnej krytyki XX wieku. Najwięcej mówią o tym liczne w ciągu ostatnich 2 — 3 lat, mądre wybory pism samego Bielińskiego, dokonane przez radzieckich uczonych, i tom „Literaturnoje nasledstwo” poświęcony temu pisarzowi.

I myśl Bielińskiego, i nauka radziecka jest szkołą najszlachetniejszej ambicji każdego badacza: prawdziwego, ideowego nowatorstwa naukowego.

Cytowane książki przynoszą nie tylko ogrom nowych faktów („Lit. nasledstwo” to także archiwizacja szperania za materiałami. A przywracanie właściwych pierwotnych tekstów pisarzy — choćby Puszkina — zniekształconych w cenurowanych wydaniach to arcywzór pietyzmu! Pietyzmu, w którym w ZSRR wyraża się w pracach na obrzydliwą skalę). Cytowane książki przynoszą jednak przede wszystkim naprawdę nowatorskie oceny i interpretacje. Kierowanie niezawodną metodologią marksizmu, odstawianą prawdziwe, klasowe oblicze literatury.

Badania prądów literackich w historiografii burżuazyjnej przyzwyczaiły nas do bezradnych katalogów modnych idei, nie wyjaśniających w niczym dynamiki faktów literackich danej epoki. To co najbardziej imponuje w pracach radzieckich, to umiejętności naukowego rozwiązywania problemów dynamiki. Mówi o tym wiele ustępów uniwersyteckich radzieckich syntez literatury antycznej, francuskiej, angielskiej, ojczyznej.

Wiele ustępów — bo nie wszystkie. Niektóre stały się przedmiotem krytyki w radzieckich kołach naukowych. Dały temu wyraz liczne dyskusje. Centralnym tematem tych dyskusji był ostatnio problem kosmopolityzmu, przekładając go na martyw nieco język techniki badań: problem stosunku literatury do życia i do tradycji literackiej. Wytknięto ten błąd niektórym pracom i badaczom radzieckim.

Z doświadczeń tradycyjnej nauki polskiej wiemy dobrze, jak fałszuje procesy literackie i indywidualności pisarskie kosmopolityzm wywodzący rodzimą literaturę z wzorów obcych, zwykle zachodnich. Stowacki — to rzekomo Byron, Ariost, Calderon, Szekspir. Nie widać tylko ludowych korzeni radykalizmu jego sztuki, nie widać społecznych, z polskiego życia wyrastających korzeni jego sprężności, upadków, mistycyzmu rozpacz. Naiwnością było wywodzić „Treny” Kochanowskiego tylko z wpatliwych przeżyć osobistych. Ale nieprawdą jest, że to arcydzieło wyrosło z polskiej rzeczywistości XVI wieku — zawdzięczamy w całości receptom uczonych twórców poetyki humanistycznej i łacińskim wzorom europejskiego humanizmu. A tak to oświetlano nawet w szkolnych wydaniach „Biblioteki Narodowej”. Oczywiście te przykłady są tylko przykładami, nie wyczerpują bynajmniej wszystkich aspektów kosmopolityzmu w nauce o literaturze. Ale wyczerpanie tego zagadnienia wymaga osobnego artykułu.

Radziecką naukę o literaturze cechuje kult powagi naukowej. Stąd krytyka i samokrytyka, stąd ostra dyskusja i stąd stały postępowy rozwój, oczyszczanie się z błędów. Przykłady dyskusji tak poważnych, tak pełnych odpowiedzialności za sąd naukowy nie znamy z historii humanistyki burżuazyjnej ani wczorajszej ani tymbarziej dzisiejszej.

Wyraźnie postępowy kierunek badań radzieckiej nauki o literaturze wiąże ją z ogólną walką o postęp. O takich historycznych funkcjach humanistyki nie słyszeliśmy od czasów humanizmu i potem Oświecenia. A nie trzeba tu szerzej mówić o historycznej ograniczonej walki o postęp u humanistów epoki renesansu i materialistów epoki Oświecenia. Tylko nauka radziecka prowadzi systematycznie konsekwentną, nieublaganą walkę z wstępnymi przejawami reakcji w nauce aż do rasizmu, czy antyhumanizmu Santayany (Por. np. tom II wydawn. Filosofskie zapiski r. 1948). Wystarczy zresztą w tym celu śledzić znakomite działy recenzji w radzieckich pismach naukowych oraz częste referaty z historii nauki (zwłaszcza w wiadomościach Akademii Nauk).

Walki radzieckiej nauki, jakże zupełnie i zawsze aktualnej, o literaturę, o postęp nie cechuje ciasny nacjonalizm, służy ona najlepszym tradycjom proletariackiego międzynarodowizmu, odkrywa nie tylko własną humanistyczną tradycję, ale i ogólnoludzką. Od tej nauki dowiadujemy się nie tylko o Radziśzczewie, ale i o Erazmie z Rotterdamu. Na półce mojej biblioteki stoi nie tylko piękny, naukowo wydany i trafnie skomentowany wybór pism Pisarewa, ale i Saint-Simona w rosyjskim przekładzie; nie tylko „Słowo o wyprawie Igora”, ale i pomnikowe dwutomowe wydanie Lukrecjusza „De natura rerum”. (Przygotowane w czasie wojny, wydane we wspaniałej szacie graficznej w roku 1947 z dodanymi pracami Wawilowa o fizyce Lukrecjusza, Sobola o biologii tegoż, Swetowa o jego poglądzie na świat, Lurie o stosunku Lukrecjusza do Demokryta, Tolstoja o Lukrecjuszu — poecie, Petrowskiego o mitologii Lukrecjusza, Maskina o czasach poety. Nadto zawiera ta książka komentarze Petrowskiego i studia Achmanowa o Epikurze i Empedoklu wraz z zachowanymi fragmentami tych pisarzy po grecku i w przekładzie).

PLANOWOŚĆ I NAUKOWOŚĆ

Na początku sformułowałem ogólne dyrektywy, w myśl których należało podjąć najpilniejsze, jak sądzę, prace polonistyczne. Przykładowo i z konieczności nie wyczerpująco wskazałem, jak wiele naukowo się możemy od radzieckiej praktyki badawczej. Lecz istnieją nie tylko naukowe i ideowe warunki powodzenia pracy badawczej, ważne są także czynniki organizacyjne. One warunkują rozmach i tempo pracy. Pracujemy ciągle chałpuńczo, pracujemy ciągle za wolno.

Dyrektywy wymienione przeze mnie będą twórczymi motorami działania tylko wtedy, jeżeli przedsięwzięcia badawcze polonistyczne będą podejmowane planowo i dostatecznie masowo. To też konsekwencją uświadomienia i pozytywnego przyswojenia powyższych dyrektyw winno być podjęcie planowej organizacji prac badawczych. Można to na początek — gdy nie mamy odpowiednio zorganizowanej Akademii Nauki i jej Instytutu Literackiego — pomyśleć jako porozumienie seminarium i instytutów polonistycznych, jakie porozumienie badaczy i towarzyszy naukowych literackich. Skoncentrowanie pracy samodzielnych uczonych, habilitantów, doktorantów i magistrantów na wybranych rozumnie kluczowych problemach.

Potrzeby społeczne muszą być dzisiaj szybko zaspakajane, bo jeszcze szybciej zjawiają się coraz nowe. Życie prze nas przód. Kraj, jego kultura, szkoły rozwijają się bardzo intensywnie. Temu tempu wobec zaniedbań polonistyki sprostać może w nauce tylko praca kolektywne. Uczymy się techniki tej pracy doświadczenia radzieckie. I tam np. stan badań nad Bielińskim długo nie był zadawalający. A życie wymagało szybkiego opracowania dojrzałej książki o wielkim krytyku na poziomie najnowszych wymagań nauki. Tak imponująca praca i tak wielostronna monografia jak tom 55 wydawnictwa „Literaturnoje nasledstwo”, poświęcony Bielińskiemu (cz. I) mógł dać tylko zespół i własnie zespół badaczy napisał ten tom, zespół, którego członkiem redaktor celowo przydzielił poszczególne problemy w sumie tworzące jakąś zamkniętą całość wiedzy o Bielińskim. Tak powstają wspaniałe radzieckie podręczniki: tak realizowane są imponujące prace wydawnicze. Z jakąż złością przeczytałem w 4 Nr. tomu VIII Zwiastii Akad. Nauk SSSR (Otdelenie literatury i języka) recenzję z tak już opracowanego pierwszego tomu (dwie litery) słownika współczesnego rosyjskiego języka literackiego.

Poloniści podobnie muszą się zespolić w zręczny kolektyw. Zespoły te muszą być zaktywizowane i uwaga ich zwrócona na problemy kluczowe, na najpilniejsze potrzeby życia kulturalnego i szkoły.

Tę pełną rozmachu pracę jest na czym oprzeć. Dotychczasowe bowiem rozwój polskiej nauki o literaturze — obok wytkniętych błędów i braków — przyniósł ogrom pozytywnych osiągnięć badawczych. Zgromadzony został poważny zasób wiadomości, jest obfity materiał faktów umożliwiający wartościowe interpretacje, jest wiele jakże cennych częściowych interpretacji — rezultaty kolosalnej i ofiarnej pracy, trafny sąd naukowy takich ludzi jak Chmielowski, Brückner i tyłu innych mają pod wieloma względami wartość nieocenioną. Wystarczy przykład. Impugnację wysiłk Badackiego odkrył nasz ludowy wiek XVII. Dziś trzeba właśnie w poczuciu odpowiedzialności wobec pracy takich Badackich nalezyć wykorzystać te materiały we właściwych konstrukcjach historycznych.

To co mówilem wyżej o pilnych potrzebach społecznych w zakresie polonistyki, nie powinno oznaczać jakiegokolwiek skrócenia (dokonanie na str. 7-8)

W WALCE O SZCZĘŚCIE ŚWIATA

(Dokończenie ze str. 1)

skiego, stoją amerykańscy mocodawcy obecnego rządu Francji.

Wyrok ten oburzył każdego Francuza, w którym żywe jest poczucie wolności. Pierre Daix w artykule napisanym dla „Trybunu Ludu” przytacza list młodego działacza katolickiego, który pisze o tej sprawie głośniejszy już w całym świecie:

„W liście tym chcę dać wyraz oburzeniu wywołanemu wiadomością, że Louis Aragon na mocy wyroku sądowego został pozbawiony praw obywatelskich. Dla mnie, katolickiego dziennikarza i krytyka, Aragon nie tylko jest człowiekiem partii, lecz jednym z wielkich pisarzy obecnej doby — przede wszystkim poeą pokrzywdzonej Francji. Jest on tym, który potrafił w swej książce „Le Crève Coeur” ukazać nam, młodym — podówczas piętnastoletnim Francuzom — uczucia całego narodu, który nie chciał się poddać. Niechaj ta niesprawiedliwa decyzja przyczyni się przynajmniej do wznowienia rozmów, które stają się coraz rzadsze, pomiędzy chrześcijanami dobrej woli a komunistami.

Przeprowadzona niedawno ankieta dowiodła nam, że zarówno młodzi komuniści jak i młodzi chrześcijanie zgodnie protestują przeciwko literaturze grabarzy, którą chce się im narzucić, i zgodnie domagają się dzieł godnych wielkości i braterstwa ludzi. Autor „Człowieka — komunisty” i „Pobudki francuskiej” bardziej zasługują na ich szacunek niż Sartre lub Jean Genet”.

Tak, my wiemy dobrze, że działalność polityczna poety Aragona zasługuje na szacunek, poety, który w najcięższych latach Francji okupowanej, wtedy gdy pisarze Francji aleksandryjskiej pogodzili się z losem i nieraz szli nawet na ugodę z Niemcami, nie złożył broni.

Kiedyś byli we Francji obcymi
Po drogach własnych zebrali co krok
I wyciągali ku widmom nadziei
Wstydlągią nagodę udreńczonych rąk,
Wtedy ci, którzy spod ziemi wyrosli,
Choćby na mglenie,
choćby padli wstecz,
To były nasze wśród śniegu pierwiosniki,
Blyskiem przesywał ich wzrok
niby miecz.

Zmilknąć nie może krew,
która raz spłynie,
Choć śpiąchrze pełne, nie niechajcie walk,
Niech zawsze ciemny
smak zostawią w winie
Na ziemi naszej winogrona warg.
(„La Diane Française”, przekład Allana Koski)

Jeśli mam zacząć od nowa,
zaczęć wysiłkiem nie mniejszym,
Głos się podnosi w okowach
i mówi o dniu jutrzejszym.
(przekład Adama Ważyka)

Od chwili, w której Aragon pisał te słowa, minęły lata. „Dzień dzisiejszy”, o którym śpiewał Gabriel Péri na miejscu kaźni, przybliżył się.

Aragon nie jest sam. Jest z nim dziesięć milionów ludzi, których łączy wspólna wola walki o prawa ludzkie i o pokój. Są oni zdecydowani przeciwstawić się wszelkim zamachom na te prawa, są gotowi przeciwstawić się agresji wojującego imperializmu. O nich myśląc, o milionach prostych ludzi, którym nienawistna jest wojna, pisał wygnany ze swojej ojczyzny poeta chilijski Pablo Neruda:

Ameriko Północna, jeśli
uzbroisz swych gospodarzy,
by tę czystą granicę zniszczyli,
by przysłali reżnika z Chicago,
aby rządził muzyką i ładem,
które Kochamy,
zjawimy się z powietrza i głazów,
by ciebie kasać,
zjawimy się z ostatniego okna,
by do ciebie strzelać,
zjawimy się z najgłębszych fal,
żeby cię zakłuć,
zjawimy się z bruzd, by połomni
rozbił cię jak pięścią Kolumba,
zjawimy się, by odmówić ci
chleba i wody,
zjawimy się, by spalić cię w piekle.
...promienni i śmiały
stalowi i uśmiechnięci,
gotowi do pieśni lub walki
oczekują cię
mężczyźni i kobiety tundry i tajgi,
bojownicy Wołgi,
która zwyciężyła śmierć,
dzieci Stalingradu...
(„Niech się zbudzi drwali”, przekład L. Pijanowskiego)

Wiemy, że nie jest to pusta przechwałka. Słowom tym towarzyszy krok milionowych gromad, słowom tym towarzyszą odgłosy pracy na ogromnych obszarach Związku Rad, kraju prodującego w walce o postęp i pokój, towarzyszą im tryumfy państw demokracji ludowej i Chin wyzwolonych. Tu rodzi się przyszłość.

Dzisiejsi prześladowcy poetów, uczonych i wszystkich ludzi wolnych napiętnowani będą przez przyszłość. Nazwiska dzisiejszych gwałcicieli wolności wymieniane będą w przypisach na hańbę ich wieku przy nazwiskach gwałceniych dzisiaj, pozbawionych praw obywatelskich w ich własnych ojczyznach. Kto pamięta gniebieli Dantego? Ale każdy pamięta nazwisko wielkiego poety.

Hitler wymazał nazwisko Heinego z podręczników literatury i encyklopedii i kazał zburzyć pomnik poety w Düsseldorfie. Hitler mijał, ale pozostał Heine, on, który miał świadomość swej władzy nad słowem, i jak niegdys Dantę w swoich

gniewnych strofach skazywał na wieczne piekło tyrandów współczesnych.

Na nie zdała się barbarzyńska metoda palenia książek niewygodnych pisarzy i zacierania ich śladów w podręcznikach literatury i encyklopediach, na nie zdała się metoda grzebania żywcem pisarzy niewygodnych dla reżymu.

„Zbieg” z Ameryki Południowej pozostanie w pamięci potomnych i pozostanie w pamięci potomnych poeta wolnej Francji, którego dzisiaj rządy Francji, nieprzyjaciele ludu francuskiego, pozbawili praw obywatelskich.

IV
Byłoby kłamstwem twierdzić, że dopiero nasze pokolenie poznało groźbę i ohydę wojny narzuconej przez barbarzyńską napastką. Kłamstwem byłoby podtrzymać w miarkę arkadyjski i malować sny o złoty wieku ludzkości. Prawdą jest, że mimo całego okrucieństwa i ciemnoty epoki wojen imperialistycznych nie przestało przyswiecać ludzkości, wśród najcięższej nocy, światło sumienia.

Ludy Europy, Azji, Ameryki wiedzą dobrze, że droga do zbawienia, to znaczy droga do prawdziwego ludzkiego życia bez grozy śmierci z ręki drugiego człowieka i bez przemocy człowieka nad człowiekiem prowadzi nie przez teorię wytopienia połowy ludzkości zamieszkującej ziemską planetę, ani przez plan Marshalla, ani przez koalicję drapieżców, ale że prowadzi przez wstępującą w życie świata siłą i młoda klasę społeczną, przez proletariát wszystkich krajów. On jest dzisiaj mózgiem i sercem ludzkości. On tylko, proletariusz świata, może sprawić, aby okrutny wiek nasz jeszcze przed skłonem swych lat brzemiennych w wydarzenia obrócił urodzajem wiedzy, nauki i sztuki, aby przewyższył pięknem moralnym najlepsze okresy ludzkości. On tylko, człowiek prosty znan Wołgi, Wisty, Sekwany, z niezmiernych obszarów Chin może sprawić, że epokowe odkrycia geniuszu ludzkiego nie będą służyły zagładzie człowieka, lecz będą wspierały go w jego pracy. On tylko może sprawić, że znikną z powierzchni ziemskiej nie tylko wojny, ale że wraz z nimi zniknie niewola człowieka.

Nowa epoka, do której zmierzamy wbrew wszystkim oporom zła, wbrew ustrojom skazanym na sprawiedliwą zagładę, wbrew kłamstwu i przemocy ginącego świata, otworzy przed ludzkością nowe krajobrazy, nowe wzruszenia, nowe myśli, jak karty książki dotąd nie rozciętej. Niezbadana jest jeszcze siła mózgu i uczuć człowieka, niewyczerpane są skarby ziemi, nie odkryte dotąd wszystkie właściwości materii, z której utkani jesteśmy nie na podobieństwo snów z „Burzy” Szekspira, lecz na podobieństwo naszej przestrzeni i czasu, w których pozostawiamy dla następów trwałe ślady naszych czynów, myśli i marzeń. Zwycięstwo Armii Pokoju — to zwycięstwo nad czasem, to zbliżenie przyszłości na odległość dostępną dla naszych oczu.

Mieczysław Jastrun

Rozmowa z Louis Aragonem

ALEKSANDER PUSZKIN

W I E S

Przed kilkoma dniami odwiedził Polskę jeden z najwybitniejszych pisarzy francuskich, nieugięty bojownik w walce o wolność, pokój i sprawiedliwość społeczną — Louis Aragon. Bezpośrednio przed wizytą znakomitego pisarza w naszym kraju czytaliśmy o bezprzykładnym i nikczemnym kroku działającego pod amerykańskie dyktando rządu francuskiego — o pozabawieniu Aragona we Francji praw obywatelskich. Wielki francuski patriota, żołnierz Ruchu Oporu w walce z faszyzmem, święty po-

wieściopisarz i poeta, chluba Francji — stracił w ojczyźnie swej prawo piastowania honorowych funkcji publicznych oraz czynne i bierne prawo wyborcze. Stracił je, będąc redaktorem dziennika „Ce Soir”, na łamach którego walczył jako jeden z czołowych działaczy Francuskiej Partii Komunistycznej o wyzwolenie swego kraju spod hegemonii imperializmu. Stracił je z mocy orzeczenia tego samego rządu, który je przywraca raz po raz francuskim kolarzom.

REDAKCJA

może nie oddziaływać na posunięcia rządów imperialistycznych, które muszą się z nią liczyć. Skuteczność akcji w obronie pokoju wydaje mi się jak dotąd niezaprzeczona. Jest ona niewątpliwie jednym z czynników, dzięki którym groźba wojny została w zdecydowany sposób odsunięta. Jestem najgłębiej przekonany o bezowocności wszelkich wysiłków podżegaczy wojennych. Za gwarancje pokoju uważam również fakt posiadania przez Związek Radziecki sekretu bomby atomowej oraz niepowodzenie polityki mocarstw zachodnich na terenie Niemiec.

— Jak ocenia Pan sytuację, w jakiej znajduje się obecnie Francja i jej literatura? Jakiej widzi Pan drogi wyjścia z tego, co można by określić niewątpliwie jako kryzys pewnych kierunków i postaw ideowych w Pańskim kraju?

— Jeśli chodzi o Francję, chciałbym podkreślić przede wszystkim rzecz, którą uważam za fakt niezmiernie doniosłości: wielką przemianę, jaka nastąpiła i następuje w postawie francuskiego człowieka. Przemianę, którą można by określić jako odrodzenie nie tylko psychiczne, ale i biologiczne ludu francuskiego. Rząd francuski i jego polityka nie odzwierciedla dziś tego, co dzieje się w masach. Masy zaś są

Wysoki, z lekka przygarbiony, Aragon ma twarz młodą, rysy wyjątkowo miękkie, niemal chłopięce, co czyni dziwny kontrast z siwymi włosami człowieka pięćdziesięcioletniego, żołnierza pierwszej wojny światowej. Teraz rozumiem, dlaczego tak trudno mi było wyobrazić go sobie na podstawie fotografii. Na żadnej z tych, które dotąd widziałem, nie jest właściwie do siebie podobny. Żadna nie była w stanie uchwycić ruchliwego, ciepłego uśmiechu pisarza.

Aragonowi towarzyszy w podróży żona, znana pisarka francuska Elsa Triolet.

Pytam o okoliczności pobytu w Polsce: czy był już w naszym kraju poprzednio, co dotąd zobaczył, co interesuje go przede wszystkim.

— W Warszawie — mówi Aragon — byłem dotychczas tylko raz przez parę godzin, przejeżdżając, podobnie jak i teraz, z Moskwy do Paryża w roku 1945. Ale nawet tamten parogodzinny pobyt przed czterema laty wystarczy, aby zdać sobie dzisiaj sprawę z różnic i z tempa odnowy. To co widzę potwierdza w pełni moje przekonanie o tym, jak wiele może zrobić kraj znajdujący się na drodze do socjalizmu.

Co interesuje mnie najbardziej? Wszystkie: i kraj, i ludzie, ale ludzie przede wszystkim. Typ człowieka, styl życia, poziom produkcji, który da się ocenić z wyglądu ulicy, zaopatrzenia sklepów. Tym, co uderza w Warszawie obok tempa i ruchliwości, jest jakiś nastrój jak gdyby odświeżony: może to atmosfera przygotowań do jutrzejszego Międzynarodowego Dnia Pokoju, może wrażenie z rzeźbienia iluminowanej trasy W — Z. Chcę jednak zaznaczyć, że oglądaliśmy wiele różnych dzielnic miasta. Przeglądam się publiczności na ulicy. Utkwiła mi w pamięci uwaga jednego z moich przyjaciół, który był niedawno w Polsce i twierdził, że rzecz charakterystyczną dla tego kraju w porównaniu np. z Francją jest brak widoku zakochanych par. Od chwili przyjazdu usiłuję sprawdzić słuszność tego zabawnego spostrzeżenia i może właśnie dlatego widzę wszędzie dookoła samych zakochanych. Może to oni wywołują owo wrażenie radości i optymizmu, które odnosi się, oglądając Warszawę.

Pytam o ostatni pobyt w Związku Radzieckim.

— Tym razem pobyt nasz w ZSRR trwał tylko dwanaście dni, miał charakter ściśle prywatny, gdyż odwiedziliśmy siostrę moją żonę, i ograniczył się wyłącznie do Moskwy. Niemniej stwierdzić muszę, że wygląd Moskwy, której stały rozwój i rozbudowę śledzimy od lat kilkunastu, bywając w Związku Radzieckim niemal corocznie, w ciągu roku ostatniego uległ przeobrażeniu tak ogromnym i tak niezwykłym, jak w ciągu żadnego z lat poprzednich. Im-

nujący rozrost miasta, podniesienie się stopy życiowej jego mieszkańców, powstanie nowych monumentalnych budowli i dzielnic nie może nie budzić najgłębszego podziwu. Zwłaszcza też uwagę najwyższy stopień usprawnienia komunikacji, znaczne powiększenie się liczby lokali publicznych i wzorowa, niezwykła wprost czystość miasta. Rzeczą jednak, która w czasie mego obecnego pobytu w stolicy Związku Radzieckiego miała dla mnie znaczenie największe, była rozmowa z Łysenką. Musi Pan pamiętać, że jestem autorem przedmo-



Aragon z małżonką, znaną pisarką Elsą Triolet, na lotnisku w Warszawie. Od prawej: L. Kruczkowski, L. Aragon, E. Triolet, A. Ważyk.

wy do francuskiego wydania książki zawierającej przebieg dyskusji biologów radzieckich i sprawa ta zajmuje mnie w sposób szczególny.

Nawiązując do Międzynarodowego Dnia Pokoju, w wigilię którego Aragon bawił w Warszawie, rzucam pytanie, jak autor „Komunistów” ocenia perspektywę prowadzonej przez obóz demokratyczny międzynarodowej akcji w obronie pokoju.

— Wydaje mi się — mówi Aragon, — że jest to akcja, której znaczenia niesposób wprost przecenić. Akcja walki o pokój skupia pod naszymi sztandarami niezliczone rzesze ludzi dobrej woli we wszystkich częściach świata. Czynna postawa mas nie

już dziś inne niż niegdyś. Inna jest młodzież. Inna fizycznie i inna psychicznie. Zdrowa, wysportowana, wolna od znamion schyłkowości, od dziwactw i kompleksów, odnajdująca drogę do pozytywnych rozwiązań. Gotowa bronić swoich praw do walki o lepszą, piękniejszą przyszłość i bronić pokoju. Gotowa bić się o pokój. Jest to pokolenie, które wzrasta bogatsze od poprzedniego o cały ogrom doświadczeń z przeżytej wojny, z walki podziemnej, z lat spędzonych w więzieniach i obozach. Ludzie, mający te przeżycia za sobą, kształtują młodą generację, która coraz liczniej zasila kadry naszej partii. Przed wojną mieliśmy we Francji dużą partię socjalistyczną i słabszą od niej komunistyczną. Dziś jest na odwrót i to jest znamienne. Przed nami jest przyszłość. Jeśli chodzi o literaturę, to niech Pan zwróci uwagę na to, że tylko nasi pisarze piszą. Inni milczą. Mają poparcie rządu i nie mają nic do powiedzenia. Poza naszą ideologię nie ma niczego, co byłoby we Francji żywe i twórcze. Ołbrzymie do niedawna jeszcze zainteresowanie literaturą amerykańską wygasło zupełnie. Natomiast książki naszych ludzi rochochodzą się w olbrzymich, milionowych nakładach. Rośnie cały zastęp młodych pisarzy-komunistów: poetów, prozaików, krytyków. Przyszłość Francji należy do nas.

— Czytelnik polski zetknął się już na łamach jednego z naszych pism literackich z fragmentem pierwszego tomu Pańskiej ostatniej książki pt. „Komuniści”. Czy mógłby Pan powiedzieć coś o swoich planach dotyczących całości tego utworu? Nie potrzebuję nadmienić, że jako jeden z tłumaczy książki interesuję się nią w sposób szczególny żywy.

— Całość „Komunistów” obejmie dwanaście tomów. Ich treść? W najogólniejszym zarysie jest ona powszechnie znana z historii lat, które przeżyliśmy. Tom pierwszy mówi, jak Panu wiadomo, o okresie czasu od lutego do września r. 1939. Drugi tom, który ukaże się we Francji 14 dnia, zawiera wydarzenia z września i października tego roku. W tej chwili pracuję nad tomem trzecim. Akcja jego dotyczy zimy r. 1940. Opis przebiegu ofensywy niemieckiej na Francję w maju 1940 będzie treścią tomu czwartego.

„Komuniści” to książka, do której przywiązuję bardzo wielką wagę. Stanowi ona pełny wyraz moich przekonań ideowych i artystycznych. Spotkałem się niedawno ze zdaniem, któremu chcę najgoręcej się przeciwstawić, że styl „Komunistów” stanowi jak gdyby świadomą prowokację antyestetyczną. Oświadczam kategorycznie, że tak nie jest. Piszę pełen najgłębszego i najbardziej nie „taktu” przekonania dla sposobu w jaki piszę. Podkreślam to specjalnie wobec Pana, wydaje mi się bowiem, że tłumacz nie powinien być kimś, kto tylko mechanicznie przyswaja książkę swemu językowi. Musi mieć pełne przekonanie o wartości dzieła, które przekłada.

Krótkość swego pobytu w Polsce Louis Aragon tłumaczy koniecznością powrotu do przerwanej pracy nad „Komunistami”. Podobnie — oświadczył przemawiając w grodzie pisarzy — tylko praca nad francuskim opracowaniem sprawozdania z dyskusji filozoficznej nad książką Aleksandrowa w ZSRR nie pozwoliła mu w roku zeszyłym być na Kongresie Wroclawskim.

Zegnął się ze znakomitym pisarzem i jego małżonką, słysząc raz jeszcze w serdeczny sposób wyrażone ich zapewnienia o najlepszych wrażeniach wywoływanych z Polski.

Muszę wracać, bo moi czytelnicy czekają na mnie — mówi ścisnąc mi dłoń z uśmiechem — także czytelnicy polscy.

Rozmowę przeprowadził

Ryszard Matuszewski

Pozdrawiam dzisiaj cię, zakątku oddalony,
O, schronienie spokoju, trudów i wytchnienia,
Gdzie płynie potok meich dni niedostrzeżony
Na łonie szczęścia, zapomnienia.

Twój jestem — zamieniłem zwodnicę dwór występny,
Wspaniałe uczy, bał i pokus złudzenia
Na ciszę pól, na szmer spokojnej leśnej kępy,
Na swobodną beztróską, siostrę zamyślenia.

Twój jestem — lubię sadu cienie
Wraz z jego chłodem i kwiatami,
Tę łąkę, pachnącymi obitą brogami,
Gdzie szmerzą wśród gajów świetliste strumienie.
Z każdej strony przed wzrokiem moim obraz inny:
Tu dostrzegam dwóch jezior błękitne równiny,
Kędy żagiel rybaka bieleje czasami,
Za nim rząd pagórków i pola pasiatek,
Tam strzechy rozproszonych chatek,
Wilgotne brzegiem pasącymi się stadami,
Owzięte dymiące spichrze, wiatraki skrzydlate,
A wszędzie praca i dostatek...

Tutaj jestem od oków światowych z daleka,
Tutaj ucęę się w prawdzie szczęście odnajdować,
Wolną duszą wysławiać prawol w czei chować,
Nie słuchać, gdy nieoświecony gmin narzeka,
Współczuciem odpowiadać na próśby litości
I nigdy szczęścia nie zazdrościć
Łotrom lub głupcom — w ich nieprawym wywyższeniu.

Wyroczenie wieków, wam tu zadaję pytanie!
W majestatycznym oddaleniu
Donośnej wasze brzmie wznawie,
Ono z gnusności snu poruszy,
Do trudów zbudzi zapal we mnie
I twórcze myśli w głębi duszy
Już dojrzewają potajemnie.

Ale okropna myśl sumieniu tu dolega:
Pośród kwitnących łąk wszędzie
Kto umie ludziom współczuć, ze smutkiem dostrzeżać
Zabójcze bezceństwo ciemnoty i nędzy.

Nie widząc łez, nie słysząc jęku,
Tu dzikie jaśnieństwo na ludzką zaturę,
Wzbyte praw i uczuć, z bluznami w rękę,
Poprzywłaszczając sobie niewolącym bątem
Cały czas, całą pracę i własność oracza.
Idąc za cudzym plugiem, lud pokorny biczom
Wynędniali się wlecz brudną niewolniczą
Bezitosnego posiadacza.

Tu lud do śmierci dźwiga jarzmo uciążliwe,
Z serca jego nadzieja i uczucie znika.
Tu kwitną dziewcząt wdzięki tkliwe
Dla uciech nieczulego nikczemnika.

Synowie, starych ojców najmilsze ostoje,
Idą z rodzinnej wioski, aby trudy swoje
Dołączyć do gromady udręczonych srogo
Niewolników zdrożonych dworkowej pracy znojem.
O, gdyby głos mój serca mógł poruszyć trwogą!
Dlaczego pierś ma pełna bezpłodnego żaru
I groźnego wieszczenia nie posiadam daru?
Czy urzę, przyjaciele, lud nieuciesiony
I niewole, co padnie na carskie skienienie,
I czy nad krajem mym, wolnością oświeconym,
Wspaniałej zorzy wreszcie rozbitna promienie?

Przełożył Seweryn Pollak

WSPOMNIENIA W CARSKIM SIOLE

(fragmenty)

Z niebiosów drzemającego stropu
Zasniona smutnej nocy splota,
Na gaje i doliny legł milczenia spokój,
Daleki las mgła kryje siwa.
Zaledwie szmerze strumień biegnący w gęstwinie.
Ledwo oddycha wietrzyk, co na liściach zasnął
I niby dumny łabędź cichy miesiąc płynię,
Śród chmur srebrzystych świeć jasno.

Płynie, bladymi promieniami
Krajobraz rozświetlając cały,
Aleje starych lip odstąpił przed oczami,
Wzgórze i łąka z mgły wyrząły.
Widzę, jak się topola spłotła z wierzbą młodą
I jak odbija się w płynących wód kryształach,
Widzę królową pól, jak pyszna swą urodą
Lilia rozwija się wspaniale.

Ze wzgórz skalistych wodospady
Splywają niby perel rzeka,
W jeziora cichej toni pluskają najady
Fala, co nigdzie nie ucieka;
A tam w ogromnej ciszy nieba strop przebudny
Olbrzymich zamków szczyty, dążąc nad obłoki.
Czy tu, gdzie dni spokojne ziemskie bogi wiodły,
Ruskiej Minerwy gmach wysoki?

Ellizjum to północny moze?
Carskiego Siola park wspaniały,
Gdzie lwa zwalczywszy powozął Rosji orzeł,
Pośród rozkoszy, syty chwasty?

Dzielnicy Moskwy mej ojczyste,
Kędy u lat młodzieńczych wschodu
W złotej beztróscie dni marnotrawicem czyste,
Nie znając smutku ni zawodu
I wy ich znałyście, wrogów ojczyzny mojej,
I was pożerał płomień, bujnie krew zraszała,
Jam zemsty wam w ofierze, życia nie dał w boju,
Jedynie gniewem duch mój patał!

O, skaldzie Rosji, o natchniony,
Coś śpiewał wojska groźne boje,
W przyjaciół twoich kręgu z sercem rozognionym
Zagrzmij na złotej harfie swojej.
Niech zmów harmonii głos opiewa bohatera,
Niech drzące struny żar roznieca w jego piersi
I niech w rykerzu młodym wrzyczą zapal zbiera
Przy dźwiękach wojowniczej pieśni.

Przełożył Seweryn Pollak

* * *

Powstań, o Grecjo, powstań! Dłoń
Wyciągnij w świeżej swojej sile,
Nie darmo dźwiga groźną broń
Olimp i Pind i Termopile.

U szczytów ich smaganych wiatrem
Oto już młoda wolność wskrzesza,
Na grobie Peryklesa
I na marmurach Aten.

Ojczyzna bogów i herosów
Wyzwała z kajdan swe ramiona
Pod rytym płomiennych strof i głosów
Tyrteja, Riegi i Byrona.

Przełożył Jan Trzynadlowski

ANDRZEJ BRAUN

PROLETARIUSZE*)

Są sprawy, których nie można
przerzucić — jak kartki w spokoju.
Oto chwila
prosta i mocna
przed rozpoczęciem boju.

Ziemi popiół
zda się bezładny,
i tylko serce łomące —
Oto chwila, kiedy najtrudniej
mówić spokojnym głosem.

Nazbyt długo
czekali na to
w Hiszpanii, we wrześniowej tulaczce...
Nic to — byli żelazną klasą,
która powstaje,
by natrzeć.

To ci, co światła
karmili brzuchy
i grzbiot okrywali kanaliom.
Długo świadomość
budowali
głuchą —
Leczą wstaje pierwszy batalion —

To ci,
co w więzieniach
budowali dzieje,
prawdziwe dzieje świata —
na ziemi swobodnej,
wnukowie Okrzei,
na front faszyzmu
przypuszczali atak.

To ci, których ręka szorstka,
odjęta ojczystym plugom
w hutach Magnitogorska
żar wylewała strugą.

Ich karki dźwigały w śniegu
kolumny cedrów i jodeł,
gdy słońce Syberii jak piechur
krwią zamarzało nad lodem.

Wiatr zaaltajski ich czole
brząz pałyna pobrudził
gdy trzeba było podolac
wraz z radzieckimi ludźmi.

I tylko olchy i brzozy
i biała amurska wiosna
widziały żal narosły
co garbił twardą postać.

Nie jeden łamał nieuczoną głowę,
wspominając, teraz
bę pieścią osuszył,
że tutaj w wolnej świata połowie
znalazł ojczyznę proletariuszy.

*) Z poematu „Lenino”

MICHAŁ BUBIENNOW

O D P R A W A

Ozjerow zarządził dłuższy postój. Dzień był cichy i słoneczny — ostatni dzień babiego lata. Gdzieś daleko na wschodzie, dokąd przetoczyła się wojna, głucho dudniły bomby, ale w uroczysku panowała niczym nie zmącona cisza. Weselo krzątały się wiewiórki: przeskakiwały z gałki na gałkę, gryzły szyszki, przygotowywały dziuple na zimę. Ruchliwe sikory bez ustanku nawoływały się w zagajniku. Brzózki powoli, z namysłem, rozrzuciły dokoła siebie po sztuce, jak w pasjansie żółciutkie liście-karty: wrożyły o swoim losie.

Zgodnie z przewidywaniami kapitana Ozjerowa przez cały dzień do tego wielkiego uroczyska ściągali żołnierze pułku — przedzierający się na wschód. Czujki, wystawione w wielu miejscach nad rzekę, zatrzymywały ich i kierowały do obozowiska. Pierwsze stawiły się, prawie w pełnym składzie, kompanie z lewego skrzydła linii obronnej — powolny, flegmatyczny kapitan Żurawski dłużej niż inni stawał czoło nieprzyjacielowi i więcej uratował ludzi ze swojego batalionu. Potem zaczęły nadciągać drobne oddziały prawego skrzydła: przyniosły wieść, że dowódca batalionu Bolotin zginął rzuwszy się w więzki granatów na czołg, a po nim dowództwo pierwszego batalionu objął komisarz pułku. Wreszcie w wzorowym porządku nadjechała główna grupa pierwszego batalionu; przyprowadził ją sam Jachno. Pod wieczór w lesnym obozowisku Ozjerowa, ku radości i zdumieniu wszystkich, zebrano się więcej niż połowa całego pułku.

Dobry nastrój żołnierzy spotęgowała jeszcze scena spotkania Ozjerowa z Jachną.

Jak u większości ludzi, którzy po raz pierwszy powąchali prochu, w wyrazie twarzy komisarza Jachny zaszły jakieś nieostrzeżalne zmiany: albo przybyło na niej trochę zmarszczek, albo oczy, oglądając śmierć, straciły swoją dawną barwę. Lecz wyglądał jak zwykle — młodzieńczo i rześko. W watananej żołnierskiej kurcie, na którą zamieniał przed bitwą płaszcz, Jachno wydawał się jeszcze bardziej zwiny i postawy. Kiedy przechodził, żołnierze ochotczo zrywali się z miejsc i salutowali mu, a następnie zbierali się w grupki i rozprawiali:

— No i nasz komisarz przyszedł!
— Z nim jakos weselej!
— Może nam się teraz odmieni na lepsze?
Ujrawszy Ozjerowa, Jachno błyskawicznie chwycił go za obie ręce, ścisnął je, jak mógł najsiłniej, w swoich rękach i długo potrząsał — z młodzieńczo rozjaśnionej twarzy komisarza przez cały ten czas nie schodził uśmiech. Zauważywszy, że Ozjerow ma obandażowaną głowę, szybko spytał:

— Lekko?
— Tak, drasnęło...
— Wiedziałem, że się spotkamy! — przemówił po chwili Jachno, wciąż jeszcze nie puszczając rąk Ozjerowa i wspominając, jak się żegnali przed bitwą i jak kapitan czemus długo nie rzucał zerwanego jesiennego kwiatka. — Wierzyłem w to! A ty?

— I ja wierzyłem — odpowiedział zmieszany Ozjerow zauważając, że ich rozmowie przysłuchują się stłoczeni dokoła żołnierze.

— A więc, gratuluje, kapitanie! — Jachno jeszcze raz potrząsnął rękami Ozjerowa. — Gratuluje z całego serca! — I on też zauważył, że dokoła stoją żołnierze, i puścił wreszcie ręce Ozjerowa; potem zaczął mówić głośniejszym głosem, tak żeby go słyszał nie tylko kapitan: — Bądź co bądź pułk spełnił swoje zadanie. Wprawdzie drogo nas to kosztowało. Ale pierwszy sukces, choćby najmniejszy — zawsze jest kosztowny. Teraz przynajmniej wiemy, że potrafimy Niemcom stawiać czoło. A skoro o tym wiemy — zatrzymamy ich na dobre!

Jachno i Ozjerow obeszli cały obóz, porozmawiali po drodze z żołnierzami, wyszli na pustą polanę, całkowicie pokrytą wzorzystymi, połączanymi liśćmi paproci. Brnęli w nich po kolana. Doszli do środka owej złoistej zatoki i zatrzymali się.

— Bardzo, bardzo jestem rad, żeście przyszedli, towarzyszu komisarzu — powiedział Ozjerow. — A Wołoszyn... wiecie?

— Widziałem jego mogiłę — odrzekł Jachno.

Załozyl ręce za plecy, szybkim krokiem przeszedł się po szorstkawym dywanie paproci.

— Istotnie, miałeś rację! — zaczął znowu, stając przed Ozjerowem. — W planie obrony przyczółka mostowego na Wazuzie rzeczywiście tkwił błąd. Tyś wcześniej od innych zrozumiał ów błąd — i to ci przynosi zaszczyt. Jestem z ciebie dumny. Tyś powinien dowodzić pułkiem — nikt inny.

— Ale przecież wy jesteście komisarzem. Wobec tego — dwóch?

Poszli dalej, zostawiając za sobą szerołą brudę w gąszczu paproci, które zakolysały się prawie na całej polanie.

Przechodząc teraz przez Wazuzę — zagadał nagle Jachno zupełnie innym tonem — i wiesz, jakie tam kamyki znalazłem? Gdy na nie patrzył, to aż się w oczach mieni! Nazbierałem pełną kieszeń! — Wyciągnął z kieszeni garść różnokolorowych kamyków. — Widzisz? Naprawdę wspaniale! To dla synka. Przy pierwszej okazji wyślę je do domu. Mój synek bardzo lubi zbierać kamyki.

Przez noc wszyscy żołnierze, zgromadzeni w lesnym obozowisku, porządnie wypoczęli. Rano, rozkazem sztabu, na miejsce zabitego kapitana Bolotina został mianowany dowódca drugiego batalionu starszy

leutenant Gołowko, który dowodził dotychczas plutonem pieszych zwiadowców. Wszystkich żołnierzy, podoficerów i oficerów z batalionu Łozniewoja porządkowano tymczasowo — do czasu wyjścia z terytoryum zajętego przez nieprzyjaciela — do innych oddziałów. W południe odbył się przegląd pułku. Dwa bataliony strzelców i parę drobnych pododdziałów stanęło w orydku na rozległej polanie leśnej. I kiedy zabrzmiiała komenda: „Bacz-no-ś! Na sztandar patrz!“, i nad polaną zalopotał, mieniąc się złotem wycieczki i wspaniałymi frędzlami, sztandar bojowy — wszyscy drgnęli, poczuli, jak przez szereg, niby prąd, przebiegła dobrze znana żołnierzom siła, której doświadczali zawsze na przeglądach. I wszyscy zrozumieli, że pułk jest uratowany i znowu żyje swoim zwykłym żołnierskim życiem.

Ale tego samego dnia zaczęła się jesienna szaruga. Słońca nie było widać. Całe niebo zaciągnęło się chmurzyskami. Po szumiącym lesie pędziły liście opadłe z drzew. A wkrótce po przeglądzie, niski nad uroczyskiem popłynęły ciemne obłoki i zaczął rosć jednostajny jesienny kapuśniaczek.

I wtedy żołnierze znowu spochmurnieli. Zbierając się w grupki pod rozłożystymi jodłami, rozprawiali po cichu, z zafrasowaniem:

— A no, jesteśmy teraz w kupie, ale co z tego?
— Tak, bracia, jesień! Aż człowieka otrząsa!
— Deszcze zaczął lać — dokąd pójdziemy?
— Na sam widok takiej pogody można zgnieć!
Komisarz Jachno zorientował się od razu, że niepogoda szybko psuje dobry nastrój żołnierzy, który powstał w czasie przeglądu. Porozumiewając się z Ozjerowem, wezwał do siebie instruktora komorki partyjnej pułku — oficera politycznego Wozniakowa. Przedwcześnie otęły, Wozniakow nadszedł zaraz leniwym krokiem cywila, przytrzymując u biodra, nachaną po brzegi papierami, torbę połową z żółtej skóry.

— Spisałeś wszystkich komunistów? — spytał go Jachno.

— Co do jednego — Wozniakow zaczął otwierać torbę.

— Zwołaj ich natychmiast.
— Odprawa?
— Tak.
Komuniści zebraли się z daleka od obozu, pod starymi jodłami, w zaciszu. Oczekując na Jachnę i Ozjerowa, Wozniakow położył sobie na kolanach torbę połową i przeglądał jakieś papiery. Z gałęzi co chwila spadały na nie duże krople.

— Tfu, do diabła! — zdenerwował się Wozniakow. — Jak tu pisać protokół?
— Rozejrzał się. — Może który z was rusza gałęziami?
— Nikt nie rusza — odpowiedział Jurgin, który stał z boku. — Przecieka przez gałęzie.

— Tak zadeszczyło się — podchwycił drżący z zimna Diegtiarow. — Czy na długo?

— Teraz na długo — odpowiedział ktoś pewnym siebie tonem.

I żołnierze zaczęli gadać pod każdą jodłą, jeden przez drugiego:

— Powiedzcie no tylko: aż się ciemno zrobiło!
— Teraz zacznie lać! A tu taka okropna miejscowość!
— Psa w taką pogodę z chalupy się nie wypędzi!

Jachno powtórzył z uśmiechem: — Nieszczęśliwa? A ja wam powiem, towarzyszu, że to najcudowniejsza pogoda, jaka może być! Wczoraj cały dzień marzyłem o takiej. Ech, myślę, żeby tak deszcze zaczęły padać! Przecie — czas najwyższy! Przynajmniej że dwa tygodnie żeby popadały! I wyszło, jak to się mówi, całkowiće spłnienie życzeń. — Obrócił się do Ozjerowa, który strząsał z czapki wodę. — Przecie to wspaniale, towarzyszu dowódco pułku, że mamy nareszcie taką pogodę?

— Doskonale — odpowiedział poważnie Ozjerow.

— Przyznam się — ciągnął Jachno z uśmiechem — że wczoraj również trochę okłapłem spoglądając na niebo. — Czyżby,

myślałem sobie, miało potrwać dłużej to babie lato? A dzisiaj, daję wam słowo honoru, ciężar mi z serca spadł. Popatrzcie no, jakie niebo zaciągnięte chmurami, co? Z pewnością na długo! Na tydzień, a może i więcej. No, szczęście nam dopisało! I jak dopisało!

Żołnierze słuchali komisarza ze zdziwieniem, nie mówili nic. Dopiero jakiś kapral, w wiglotnej, pogniecionej furazerce, wysunął głowę za pnia pobliskiej jodły i spytał z niedowierzaniem:

— Czegoż ta mokrósć tak wam się podoba, towarzyszu komisarzu? Przy takiej pogodzie zgajemy jak nic...

— Czego mi się podoba? — powtórzył pytanie Jachno, przyjrzał się kapralowi i przybrał surową minę. — A tego właśnie, że pomaga nam wojować, towarzyszu kapralu! Romaga naszym wojskom zatrzymać Niemców! — Szybko rezerwał się dokoła. — Wojska nasze, mimo strat, z każdym dniem wstają w siłę. Wszędzie zaczynają hamować napór nieprzyjaciela. Teraz Niemcy nawet przy łajnej pogodzie mają trudności w posuwaniu się naprzód, a co dopiero przy takiej stocie! Tu wszędzie są bezdroża, lasy, otocza... Daleko zajdą przez takie roztopy ze swymi ciężkimi machinami! Połowę czołgów i ośmiął pogubią w bagnach, a na wszystkich orogacach, na wszystkich przeprawach będą mieli zatory. I koniec ich otensywy!

Komuniści, już nie zwracając uwagi na deszcz, zaczęli wychodzić ze swoich kryjówek i ostrożnie grupować się koło tej jodły, gdzie stał komisarz.

— Tak więc — ciągnął Jachno, starając się mówić takim tonem, jakby to była zwykła prywatna pogawędka a nie zebranie — im gorsza pogoda, tym dla nas lepsze. Im większy deszcz, tym weselej powinno wam być na sercu. Póki Niemcy będą siedzieli w biotach, my tymczasem wyjdziemy z zajętego przez nich obszaru i połączymy się z naszymi siłami głównymi. Jestem przekonany, że to nastąpi dość szybko! Dlatego, towarzyszu kapralu, podoba mi się taka pogodka! I powinna się podobać wszystkim żołnierzom naszego pułku. Uświadomienie sobie tego jest obowiązkiem przede wszystkim komunistów. I komuniści właśnie powinni wytłumaczyć wszystkim swoim kolegom, że im gorsza pogoda, tym prędzej nastanie kres naszej tułaczki!

Wielu komunistów opuściło głowy w poczuciu winy. Kapral w mckrej furazerce schował się za jodłę.

— Ciężko nam? — mrużąc oczy spytał Jachno. — Woda leci z serca spadł. Nogi mokre? A czy mi jesteście gorsi od naszych ojców i dziadów, którzy kpiłi sobie z takich niewygód?

— Zrozumielimys, towarzyszu komisarzu — ponuro, lecz śmiało odpowiedział Matwiej Jurgin. — Pójdziemy dalej bez jednego słowa. Przecie zwyczajni jesteśmy chodzić i w niepogodę.

Godzina siódma rano; słońce prześwieca przez mgłę, białe jak talerzyk. Z dworca wschodniego Lania idzie do sztabu Armii Ludowej na Radzymińska. Ulicami, wiodącymi ku Wiśle, po trotuarach, zasłanych tłuczonym szkłem i obciętymi gałkami, po jezdniach, nad którymi zwijają się strzepy tramwajowej sieci, maszeruje piechota, suną auta ciężarowe z pontonami na grzebiach i przemykają się rozkręczone tankietki. Przed świtem Kościuszkowcy weszli na Pragę.

W podwórku kilkunastoletni chłopcy z opaskami na rękawach drzemia przy staroświeckim Hotchkissie. Sztab jest sztabem już tylko z nazwy, mieści się tutaj punkt zborny dla ludzi i sprzętu. Doktor Antek z lusterkiem w ręku spaceruje po niewielkim pokoju o czekoladowych ścianach. Ogląda w zapożyczonym krześle swoje zdjęcia, krwawiące i żółte od ropy.

— Awitaminoza — mówi, rozciągając sylaby. — Co słycała, Lania?

— Ci z pierwszej dywizji są dziecinni i nadej! jak żaby — z jaką goryczą w głosie stwierdza Lania. — Dobroczynne towarzystwo, psiaakrew. Widziałem porucznika, starszy gość, rozdawał mięsne konserwy, ciut nie zakonnica z Czerwonego Krzyża.

— Przyniosłeś?
— Od wczoraj w sztabie nie jedli.

— Po diabła. Przepukni tam się pechały, zaraz opyla. A pan porucznik płacze, kuchany, i ścisła każdą swolocz pod rząd. N'e lubię tego fasonu, jak mu się zdaje, że wdepnął w kupkę nieszczęścia, niech się trzyma delikatnie.

Lania nie przyznaje się, że z tym oficerm (nazwisko: Blachut, warto zapamiętać) pfi spirytus z manierki „pod gwizd“, śpiewając „idiot wojna narodna!“ i klnąc szkopów za to, że wysadzili mosty. Pochmurny siada na parapecie, podkurewyszy nogi, bębni palcami w szybę i syka. Przed dom zajężdza ciężarówka, Alowey

bez czapki z trójbarwną kokardą w kłapie munduru. Pod murem kucnął mężczyzna z otwartą walizką na kolanach.

— Ci z pierwszej dywizji są dziecinni i nadej! jak żaby — z jaką goryczą w głosie stwierdza Lania. — Dobroczynne towarzystwo, psiaakrew. Widziałem porucznika, starszy gość, rozdawał mięsne konserwy, ciut nie zakonnica z Czerwonego Krzyża.

— Przyniosłeś?
— Od wczoraj w sztabie nie jedli.

— Po diabła. Przepukni tam się pechały, zaraz opyla. A pan porucznik płacze, kuchany, i ścisła każdą swolocz pod rząd. N'e lubię tego fasonu, jak mu się zdaje, że wdepnął w kupkę nieszczęścia, niech się trzyma delikatnie.

Lania nie przyznaje się, że z tym oficerm (nazwisko: Blachut, warto zapamiętać) pfi spirytus z manierki „pod gwizd“, śpiewając „idiot wojna narodna!“ i klnąc szkopów za to, że wysadzili mosty. Pochmurny siada na parapecie, podkurewyszy nogi, bębni palcami w szybę i syka. Przed dom zajężdza ciężarówka, Alowey

strony „rasowego“ guerilla. Kocha partyzancką wolność, najeżona rygorami, ale bez odznak i musztry. Dużo zyskał o Hiszpanii, wojna z faszystem, nawet ta regularna, była w zaczątkach swych wojna cywilna. Lania żyje romantyką komunistów, dlatego zgłosił się od razu, gdy padło słowo: milicja. I kiedy doktor Antek pyta: „Ubezpiecz mundur? odpowiada: Tak, ale bez gwiazdek i frędzelków“.

— Zostaniesz milicjantem na stałe? — interesuje się Antek. W jego głosie brzmi ton wyrzutu.

— Na stałe? Nie wiem jeszcze. Wytypowałem mnie na jakiś inteligencki zawód, co?

Brzęk szyby, zgniecionej podmuchem. W rudym kurzu Lania strzepuje z płaszcza okruchy szkła. Ostra woń prochu i wapna napelnia pokój. Na ulicy ktoś jęczy. Dalsze wybuchy wtlaczają do mieszkańia chłód przez wybite okno. Doktor Antek garbi się, oparty o krawędź stołu, na którym pistolety podskakują jak ryby, ciśnięte na brzeg.

Wartownicy z ochrony sztabu wprowadzają mężczyznę, ślizgającego się na rozmiękłych jak z kauczuku nogach. Ze zdziwieniem w zbieżnych oczach przypatrzyło się szkarobom, którzy go podtrzymują, oszłomiony widokiem własnej krwi na ich bluzach; sądzi prawdopodobnie, że to oni ślinają się w ranach, bo skąd tyle posoki? Gdyby zrozumiał, że kleista ciecz, stygnąca w faldach rękawów, wylewa się z niego, zacząłby krzyczeć, starsi ludzie szanują swoją krew. Ale w zupełnym ośpieniu, z uśmiechem (ulg?) na wargach pada na krzesło, odgwiszując głowę jak u fryzjera. Lania poznaje go, to ów gość, który z walizką na kolanach siedział obok bramy naprzeciwno. Jeden z obstawy rzuca walizkę na stół, wysypując się z niej grzebyki, pudełka papierosów i zrupki z niemi.

— Minami rąbią — mówi. — Wy jesteście doktor — zwraca się do Antka. — Poratujcie dziadka.

Antek schyla się nad rannym.

— Błoto, naturalnie, można wytrzymać — dał się słyszeć głos zza jodły — ale nieszczęście, że jesteście odcięci!

— Kto powiedział, że jesteście odcięci? — krzyknął nagle Ozjerow. — Kto tam jest za jodłą? O, wyjdź no, bracie, tutaj!

Komuniści zrobili przejście i krępy, pucołowaty kapral, w podartym płaszczu i pogniecionej, mokrej furazerce, wystąpił naprzód. Ozjerow pogroził mu palcem.

— Wybij sobie z głowy to głupie słowo! Raz na zawsze! Słyszysz?

— Słyszę, towarzyszu kapitanie!
— Zapomnij o nim! — zawołał Ozjerow i zwracając się do wszystkich zaczął mówić, jak zwykle, ostro, gwałtownie: — każdy, kto wymówi to głupie słowo, będzie płacił za nie własną głowę. Żebyście wiedzieli! Kto wymyślił to słowo? Tchórze! — I nie zdając sobie sprawy, że powtarza myśl, które wyczał w „Wojnie i pokoju“, rzekł: — Słowo to nie ma żadnego sensu. Odciąć można kawalek chleba, a nie armię. Odciąć armię, zagrozić jej drogę — nie podobna, bo miejsca dokoła zawsze wiele, wszędzie można znaleźć nową drogę, i jest noc, która wszystko osłania. Patrzcie go: odcięci! — Ozjerow jeszcze raz pogroził palcem. — Jutro rano ruszamy dalej. Żeby więcej nie słyszał tego obrydliwego słowa. Wy, komuniści, powinniście się przychylić do tego, aby nie wymówił go żaden żołnierz! A w marszu macie obowiązek dawać wszystkim przykład męstwa, wytrwałości i panowania nad sobą. Marsz nie będzie lekki, nie ma co owijać w bawełnę, ale coż na wojnie lekko się robi?

Oficer polityczny Wozniakow doszedł do wniosku, że czas już zacząć zebranie. Podszedł do Jachny i spytał szeptem: — Może otworzysz zebranie, towarzyszu komisarzu? Wszyscy już przyszedli. Jest obecnych... jedną chwilęczkę!

— Jakie zebranie? — przerwał Jachno. — Zebranie już skończono.

Oficer polityczny Wozniakow osupiał, opuścił ręce z papierami.

— Skończono? A jakże to... A protokół? — Obejdziemy się bez protokółu.

Po pięciu minutach, wysłuchawszy jeszcze kilku pouczeń Jachny, komuniści rozeszli się po całym obozie.

Rano pułk ruszył w dalszą drogę. W ślad za oddziałami pierwszego rzutu, po gościńcach prowadzących do Moskwy posuwały się różnego rodzaju sztaby nie-



KRZYSZTOF GRUSZCZYŃSKI

O P R A W A

Godzina siódma rano; słońce prześwieca przez mgłę, białe jak talerzyk. Z dworca wschodniego Lania idzie do sztabu Armii Ludowej na Radzymińska. Ulicami, wiodącymi ku Wiśle, po trotuarach, zasłanych tłuczonym szkłem i obciętymi gałkami, po jezdniach, nad którymi zwijają się strzepy tramwajowej sieci, maszeruje piechota, suną auta ciężarowe z pontonami na grzebiach i przemykają się rozkręczone tankietki. Przed świtem Kościuszkowcy weszli na Pragę.

W podwórku kilkunastoletni chłopcy z opaskami na rękawach drzemia przy staroświeckim Hotchkissie. Sztab jest sztabem już tylko z nazwy, mieści się tutaj punkt zborny dla ludzi i sprzętu. Doktor Antek z lusterkiem w ręku spaceruje po niewielkim pokoju o czekoladowych ścianach. Ogląda w zapożyczonym krześle swoje zdjęcia, krwawiące i żółte od ropy.

— Awitaminoza — mówi, rozciągając sylaby. — Co słycała, Lania?

— Ci z pierwszej dywizji są dziecinni i nadej! jak żaby — z jaką goryczą w głosie stwierdza Lania. — Dobroczynne towarzystwo, psiaakrew. Widziałem porucznika, starszy gość, rozdawał mięsne konserwy, ciut nie zakonnica z Czerwonego Krzyża.

— Przyniosłeś?
— Od wczoraj w sztabie nie jedli.

— Po diabła. Przepukni tam się pechały, zaraz opyla. A pan porucznik płacze, kuchany, i ścisła każdą swolocz pod rząd. N'e lubię tego fasonu, jak mu się zdaje, że wdepnął w kupkę nieszczęścia, niech się trzyma delikatnie.

Lania nie przyznaje się, że z tym oficerm (nazwisko: Blachut, warto zapamiętać) pfi spirytus z manierki „pod gwizd“, śpiewając „idiot wojna narodna!“ i klnąc szkopów za to, że wysadzili mosty. Pochmurny siada na parapecie, podkurewyszy nogi, bębni palcami w szybę i syka. Przed dom zajężdza ciężarówka, Alowey

z Targówka przywieźli broń, zamelinowaną trzeciorożniem sierpnia po generalnej kłapie powstania na przedmieściu. Taszczy skrzynie z granatami i całe wiązki empi. Gość z walizką nadal tkwi pod murem. Doktor Antek przechadza się z kąta w kąt, drobny, wysuszony jak grzybek.



— Dziecinni? — zastanawia się głośno. — A my? Nasza ochrona, tych paru malców z muzealnym gwerem, poco oni czuwają, kto nam obecnie zagroza? Spróbuj usunąć, urządzą awanturę.

Patrzy na pistolety, które leżą w świetle. Parabelek wygrywał od Kasi za „TT“ dla samej przyjemności zawierania jawnych transakcji. Pierwszy raz posiada broń legalnie, radując go blask dnia na oksydowanych lufach.

Seria z automatu. Ptaki wyfruwają trzęsioród liści przelamanego drzewka, zwisającego nad chodnikiem. Lania śledzi ich lot, śmigając w niebo, delikatnym błękitem przecierającą przez szczyliny w chmurach. Nie ustrzegł się lez, gdy wychylił się z mgły, zmęczony, oblawianym amunicją z polyskującymi czarną oliwą pepesami. Nie podoba mu się, chyba to, że są regularna armia, noszą jednakowe drelichy i z dyscypliną czynią rytuał, zasługujący na drwinę ze

*) Fragment powieści pt. „Biała brzoza“ — której polski przekład ukazuje się wkrótce nakładem „Czytelnika“.

*) Fragment powieści pt. „Ludzie są potrzebni“.

P O D M O S K W A *)

mieckie, formacje pomocnicze i rezerwy. Na gościach nie milknął loskot niemieckich czołgów i ciężkich samochodów, stukot motocykli i turkot wozów. W wioskach przydrożnych oraz w tych, spośród bardziej odległych, do których można było dojechać mimo roztopy, przechodzące oddziały nieprzyjacielskie zatrzymały się na odpoczynek. W miasteczkach i ośrodkach rejonowych pośpiesznie lokowały się komendantury i garnizony. Wedle wszelkich oznak Niemcy zdolali już wtargnąć na obszar bezpośrednio przylegający do Moskwy.

Pułkowi Ozjerowa pozostawało jedno: omijając wszystkie miejsca zajęte przez Niemców, unikając gościńców, przebiec na wschód bocznymi drogami polnymi i bezdrożem, przez lasy i błota. Było to najbezpieczniejsze — nie dochodziły tu nawet odgłosy wojny. Z początku, kiedy żołnierze nie oswoili się jeszcze z warunkami nowego położenia i obawiali się forsownego marszu, wszystkim przypadało do gustu brnąć przez takie miejsca, wkrótce jednak przekonali się, że iść w ten sposób jest bardzo trudno.

Pogoda psuła się z każdym dniem. Z niebios, które jak gdyby zardzewiały przez lato, bez ustanku padały deszcze. Wszędzie potworzyły się wyboje pełne wody, w które ludzie wpadali po kolana. Uroczyska zalało, jak w czasie powodzi, i teraz było w nich mroczno i duszno od ciężkiej, zatechłej mgły. W pierwszych dniach wędrowni wypadki z konieczności porzucił w drodze — w błotach nie do przebycia — wszystkie furgony, woźki dwukołowe i nawet ciężkie karabiny maszynowe.

Lecz i potem, bez taboru i obciążenia, iść było trudno, niemal ponad ludzkie siły. Bezdroże i niepogoda wyczerpywały ludzi do ostateczności. Marsz odbywał się o różnych porach, zależnie od okoliczności: i o świcie, i wieczorem, i w nocy. Pułk pośpieszał, aby dogonić niemieckie oddziały przednie i wyjść z terytorium zajętą przez nieprzyjaciela — toteż odpoczywano mało. A coż to zresztą za odpoczynek: w czasie słońca, pod gołym niebem, pod pierwszą lepszą jodłą? Odywiano się też dość lichy. Własnych prowiantów pułk nie miał, trzeba więc było zadowolić się tym, co dostarczyły napotykanym po drodze ubogim wioskami: podrzynanymi grzybami i brzojską. Żołnierze ciągle przekuliwali w paskach nowe dziurki. Przy tym wszyscy byli kiepsko przyodziani i obuci, bez

czapek i rękawic, niemal zawsze przemoknięci do suchej nitki. A nocami zaczęły już chwytać mrozy; zasypiając ze zmęczenia twardym snem, ludzie przymarzali do ziemi razem ze swą niewymyślną podściółką — gałkami jedliny lub słomą. I ogrzać się nie zawsze było można: wobec słońca, panującego nad całym krajem, nawet ogień okazywał się zbyt słaby. Po upływie tygodnia wielu żołnierzy tak opadło z sił, że ledwie włożyli nogami. Ciężko było patrzeć, jak szli za Ozjerowem i Jachną ich żołnierze — wychudli, z rozgorączkowanymi oczyma, przemarnięci, w przepalonym koło ognisk i ubożym odzieniu. Ale szli i szli, w ponurym milczeniu.

W początkach drugiego tygodnia marszu pułk wyszedł z ciemnych rzewskich uroczysk i wkroczył na podmoskiewską ziemię. Pola tu były obszerniejsze, z bardziej twardym gruntem, wsi — więcej, a w mieszanym lasach i gajach — przylatnie i jasno. Droga stała się lżejsza, lecz o wiele bardziej niebezpieczna. Zwiadowcy wszędzie natrafiali na oddziały nieprzyjacielskie. Prawie we wszystkich wioskach stały załogi niemieckie. W wielu miejscach Niemcy pourządzali różne składy, tymczasowe garaże, bazy zaopatrzeniowe. Po bokach urąg widniały ugrzęzłe w błotku i porozbijane niemieckie czołgi, wyrwane wozy i samochody, a na pagórkach — równiutkie rzędy brzożowych krzyż nad mogiłami. Niektóre wsie były spalone do cna, a koło świeżych zgłiszcz, wśród obnażonych kominów, wznosiły się szubienice — wisiele na nich sterczały brodacze, baby i dziewczyny z rozpuszczonymi włosami i otwartymi piersiami. I wszędzie, jak okiem sięgnąć, snuły się powoli w górę i topniały w pochmurnym niebie duże i małe dymy.

Dla żołnierzy Ozjerowa stało się rzeczą jasną, że ofensywa niemiecka utknieła w miejscu, że niedaleko już jest front. Pewnego razu usłyszeli wyraźnie odlatujące od wschodu odgłosy kanonady armatniej. Wielu, słuchając tych odgłosów, płakało po cichu. I od tej chwili, mimo nadludzkiego zmęczenia, wszyscy ozjerowcy z jeszcze większym uporem zaczęli dążyć na wschód.

Ale z każdą godziną marsz stawał się coraz trudniejszy. Tego samego wieczoru, kiedy po raz pierwszy doleciał ich huk armat, ozjerowcy przecinając gościńce natknęli się na Niemców. Wywiązała się krótka walka, Rosjanie spalili kilkanaście

niemieckich samochodów, położyli trupem wielu Niemców i sami aż się zdziwili: jak im to pięknie poszło i czego dokonali. Wszyscy zrozumieli wtedy, że ich pułk mimo poniesione straty, mimo trudności marszu, stał się silniejszy, i dzielniejszy, i zgodniejszy w działaniach bojowych, niż był przedtem.

III

Chwycili pierwsze mrozy. Ziemia, skuta w przeddzień żelaznym chłodem, była twarda jak kamień. I wszystkim na niej, zdrętwiałe śmiertelnie, chrzęściło i trzeszczało pod nogami — i pognieciono trawę, i mech, i opadłe liście. Czujne ucho z daleka mogło rozpoznać, że przez bezdroże leśne idą setki ludzi.



Szli skrajem lasu. Przechodząc przez miejsca rzadko porośnięte drzewami widzieli z prawej strony kawałki pola z pociemniałymi od deszczów stogami, z gołymi krzakami na pagórkach. Dalej, za falą terenu, płynęły niewielkie dymy. Nadchodził wieczór. W głębi lasu panował już gęsty mrok, a na polankach, w jasnym świetle zachodu płonęły purpurą samotne jodły. Niekiedy w przeskakach zaciągało chłodem, który przejmował aż do szpiku kości. Ozjerowcy odwracali twarze od

Rys. M. RUDNICKI

R U N E K *)

— Cieżarówka jeszcze nie odjechała? — pyta. — Wieście go do Przemienienia. Zabierają kramarza na krześle zamiast noszy, nieprzytomnego, w białym turbanie, który na karku przecieka. Po chwili, strzelając na kiepskiej mieszance, rusza sprzed domu samochód. Antek, śmiertelnie biały, zapala papierosa z paczki, którą tanten chciał sprzedać.

— Dziękuję, Lania — szepcze. — Jaki z ciebie doktor? Filozofii? Lania zna Antka z Lubelszczyzny. Przybył wiosną czterdziestego trzeciego do ich leśnej jednostki, klasyczny inteligent, prosto z Warszawy. Petał się przy dowództwie bez przydziału, chorowity i zastraszone. Nie był to wypadek odośobniony,



przed nim dwaj intelektualiści, poeta i docent podobnie terminowali w partyzantce: waleśając się bez celu. Tytułowano go doktorem, chociaż nikt nie orientował się, co to za doktor.

— Medyczny — mówi Antek. — Jestem, wybierz sobie, lekarzem, w przeszłości nawet niezłym.

— Nie lipuj. — Skądże. Chciałem się opinią światnego specjalisty, jeśli chcesz wiedzieć, doskonałego specjalisty.

Antek ożywia się, gestykułuje. — Przed wojną. W czasie wojny nie praktykowałem, straciłem wiarę w sens jakiegokolwiek pracy.

— I zapomniawsz jak się nakłada opatrunków? — szepcze Lania.

— Nakładając opatrunków nie umiałem nigdy. Defekt postawy, mój drogi. Udzielnym pierwszej pomocy zajmował się lekarz pogotowia, ja wykonywałem bardziej skomplikowane obowiązki, ale gdyby kogoś auto przejechało w mojej obecności, byłbym bezradny jak każdy z przechodniów. Jednostrońne wychowanie, towarzyszy Lania.

— A co robiłeś? — Byłem psychiatrą. Nie z zamiłowania, broni Boże. Z namysłu. Uległem modzie, panował kurs na osobowość ludzką. Niemcy mnie dopiero nauczyli, że człowiekiem można się interesować w różny sposób. Fascyzm człowieka też ciekawy, patrzy przez szybę, jak drga w konwulsjach.

— Słuchaj — krzyczy Lania, — słuchaj, jak ty do nas trafiełeś? — Zwyczajnie. Zdychałem z głodu, nerwy mi nawalały, miałem twarz żebraka,

kiedy mi zaproponowano wyjazd do lasu, więc się bez wahania zgodziłem. Przyjeżdżam do lasu jak dziecko, z którego ktoś wyrosło, albo nie; taki stosunek do czterdziestoletniego nieuczynnego władcy obelg, ale mnie osobiście oczarował, łączył wtedy pusty w środku i przeczulony.

Powiew z korytarza, gwar i śpiew. Zjawia się Katarzyna z wiadrzem, oblepionym grudkami stwardniałego kleju. Widzi plamy krwi na progach i na podłodze.

— Co się tutaj działo? — pyta zatrwożona.

Lania wskazuje na stół, podobny do straganu z galanterią. Dwa pistolety bliżej natłuszczonym żelazem wśród grzybków z lotniczego duraluminium i kartonów z guzikami.

— Rozpruło czaszkę jednemu biedakowi — powiada. — Wypelznął z piwnicy po zasranym gosieriu. Nie mógł pojechać. Za to się umiera, psiakrew. Ciulacka mentalność. Odstawiwszy wiadro, Katarzyna wyciera dłoń o spodnie brezentowe, szoferkiego kombinezonu.

— Zamiast się barłozzyć, Antos, postarabys się o ambulanse.

— Najpierw musi istnieć służba zdrowia. Co ja sam...

— To zakładaj służbę zdrowia — przerywa Katarzyna. — Inicytywa gdzie? W garażach jest dosyć wozów, benzynę wyłudził od wojska. Oznacz punkty opatrunkowe, wszędzie, gdzie mieszka lekarz, albo pielęgniarka, niech wisi chorągiew z czerwonym krzyżem. Zamelduj się radzie narodowej, wypisz ci pełnomocnictwo.

— A ludzie? Skąd wezmę ludzi? — Poszukaj. Z rękawa ci nie wytrząsnę.

Od świtu Kasia, przewodnicząca Związku Walki Młodych na Pradze, rozlepiła na murach Manifest. Antek z trudem ją poznaje; wczoraj jeszcze chodźła z czubem miedzianych włosów, zalotnie upiętych, z grymasem kretyнки na uszmiokowanych wargach i złotowym światłem w umyślnie nieruchomych oczach. Udawała panienkę z Wawru, durną jak pantofel, chorą na serce i uganiającą się za ciotką. W tej masce przedzierała się przez wachty i patrole, szmugując żywność dla towarzyszy, zabłokowanych w domach. Dziś obcięła krótko włosy, przybiera styl szafrazyski, nie licujący z jej urodą, styl ascetyczny — nie dla siebie.

— W szpitalu na Kowelskiej brak łóżek, ranni leżą na korytarzach.

Skąd do niej tak dokładne wiadomości, zastanawia się Antek. Może powinien organizować opiekę lekarską dla przedmieścia? Ale ta robotka, chociaż administracyjna, pachnie dawnym zawodem, Antek czuje do niego wstręt. Nie mam talentu organizatora, myślę z lekkiem. W konspiracji pisał artykuły do „Głosu”, będąc nadal dziennikarzem, moją największą zasługą da rucha jest to, że zaufałem idei, drwi z samego siebie. Wyuczyłem się ideologii jak nowego fachu. Jestem oportunistą, albo...

— Nie, dziecko, — mówi do Kasi. — To nie dla mnie. Popracuję chyba w propagandzie.

Katarzyna patrzy na niego lekceważąco.

— Jesé mi się chce — powiada naraz. — Ledwie się trzymam na nogach.

— Jeszcze nie przywieli prowiantu — mówi Antek.

— No to bądźcie zdrowi. — Sekunde. Ubijam z Lanią interes, twoją parabelkę za „Waltera”. Pośredniczysz?

— Zgoda — śmieje się Kasia. — „Waltera” biorę.

Odpina dużą kieszonkę kombinezonu. — Lania, łap „tetenkę”. Bywajcie.

Katarzyna biegnie prawą stroną ulicy pod żółtawym słońcem, które, ukosnie świecąc, nie starło jeszcze cienia z jezdnii ani z przeciwległego chodnika. Śpieszy się diablinie, trzeba zatwilić lokal na siedzibę zarządu. Mija plakat, przebity odłamkiem, który ugrzązł w tablicy. Spod oddartej plachty widać niemiecki druk. Klej jeszcze nie zastężył, Katarzyna starannie zalepia to miejsce. Po chwili spotyka obok kiosku malca z malarskim pedzelem i banką po cukierkach, oczekującą klajstrem. Chłopiec rękawem wygląda z zamarszoną powierzchnię papieru.

— Już nie lepicie, koleżanko? — Już nie. Był obstrzał, co? — pyta Katarzyna.



— Z tyłu.

Mają na zadarty noski i spojzenie łobuza. Zmobilizowała go na Grochowcie, przed braskiem, spał w schronie pod nieobłożoną pierzyną z trojęm rodzeństwa. Łazi teraz zbieżnięty, ubabrany krochmalom, a za nim zakwitają plakaty z postaciami olbrzymich żołnierzy i pękają szrapnele.

Nieliczni przechodnie tuł się do ścian, przycięci i ostrożni jak koty. Katarzyna myśli o walizeczce z galanterijnymi wyrobami i o swoim wychowaniu z Grochowa. Uczyla go czytać. Z rozmaitych powodów ludzie idą pod bomby.

Katarzyna myśli także o tym, że na lokal należy zająć cały budynek z salą na świetlicę. Myśli o tym, że coś się dzieje niehywałego, że Lania robi milicję, a Antek... Antka „trzeba bić”.

I głodna aż do młodości, zmordowana, przyspiesza krok.

Krzysztof Gruszczyński

wiatru, naciskali na uszy furażerki, kulili się w swoich brudnych, podartych płaszczach, zwierali szczerzej szeregi — i jeszcze mocniej walił butami po zamarniętej ziemi. Większość żołnierzy szła w milczeniu, zajęta wyłącznie tym, żeby się uchronić od chłodu. Wielu kaszało — głucho, tracąc oddech, wysilając przeziębione płuca.

O dwieście metrów przed pułkiem, z komisarzem Jachną na czele, posuwała się straż przednia, która bacznie oglądała nieznane miejsca. Bataliony strzelców maszerowały w zwartych kolumnach; za nimi — w jednej grupie — sztab i żołnierze wszystkich drobnych pododdziałów. W posrodku tej grupy sześciu żołnierzy dźwigało trzy pary noszy: na pierwszych leżał chory



adiutant dowódcy pułku, Cjelujko, na pozostałych — dwaj ciężko ranni w ostatniej potyczce na gościńcu. Tu również wleki się lekko ranni i chorzy — ci co chwila chwytali się to za drzewa, to za idących obok towarzyszy.

Chorego adiutanta nieśli Andrej i Umrichin. Andrej szedł na przedzie. Był teraz podobny nie do żołnierza, ale raczej do zawodowego myśliwca. Miał na sobie watawaną kurtkę i buty z cholewami. Na głowie sterczała mu zniszczona czapczyna, znaleziona w jakiejś opuszczonej chałupce przydrożnej, a u pasa wisiały dwa granaty i nóż myśliwski. Andrej szedł, wzdychając ochryple, garbiąc się, kurczowo ściskając w opuszczonych rękach konce brzożowych drążków. Często zaważał nogami o kępki trawy i korzenie drzew, co wprawiało Umrichina w nieumiałe zdziwienie. Wreszcie Umrichin nie wytrzymał i spytał:

— Co to — kapitalujesz? — Dźwigaj — wychrypiął Andrej.

Lecz w tej samej chwili tak się zachwiał, że o mało nie wypuścił z rąk noszy. Umrichin próbował wpaść w nowy rytm jego kroków i spytał z troską w głosie:

— Co ci jest, Andrucha! Może ty słaby? — Kiepsko widzę — przyznał się Andrej.

— Możesz chory na kurzą ślepotę? — Nie, to nie kurza ślepotą... — Bo teraz akuratnie pora na nią — wieczór. A na taką słabość nie trzeba długo czekać! Zarcie mamą skape...

— Nie, to co innego! — powtórzył z rozdrażnieniem Andrej. — Pleciez w kółko jedno i to samo! Nieś!

— Widzieliście? — zdziwił się jeszcze bardziej Umrichin. — Możesz i ty sobie nerwy nadpsuć? No-no, kto by pomyślał!

Cjelujko przeszło godzinę leżał bez przytomności, a teraz znowu zaczął majaczyć. Nie mając siły podnieść rozgorączkowanej głowy, chwycił prawą ręką za drążek, wykrzykiwał słabo:

— Tak, wiosna, wiosna! — Płaczesz odrobinkę, mój drogi — odparł dobrodusznie Umrichin. — Taka wiosna, jak teraz, może człowieka skrócić w dziesięć dni. Puste książki zmarzają się do kupy. Nie łap rękę za drążek! O, coż za utrapieniem! Zgubisz rękawicę i odmroziś sobie rękę. Czego podrygujesz? Chory jesteś — to leż spokojnie. Popatrz, jak Stepan Diatłow leży. O, tam, z tyłu! Leż i ty tak.

— Jak cudownie na świecie! — nie ustawał w swoich gorączkowych zachwytach Cjelujko.

— Jeszcze jak cudownie! — zakpił Umrichin i, zmarszczywszy ogorzałą twarz, pokłwał dużą głowę, na czubku której miał jako tako nasadzoną furażerkę. — Po swojej własnej ziemi chodzimy jak dzikie zwierzęta. Wychudliśmy, obdarliśmy się na glanc. Popatrz, jaki mam płaszcz na sobie! Trzyma się tylko dlatego, że błotem sklejoną, a potem zamarzę. Nie machaj tak ręką! Na wiecu jesteś, czy co?

— Przystań, Iwan! — poprosił Andrej. — A czego miele językiem? — Niech miele! A ty nie dogaduj!

— Nie, nie znalazłem... Nie znalazłem takiego szczęścia... — wymamrotał Cjelujko niezbyt wyraźnie, ale z głębokim przejęciem.

— Masz, widzisz? — ciągnął swoje Umrichin. — Znowu opowiada. Szczęście znalazł!

Andrej o mało nie wyrwał z rąk Umrichina końców noszy. Straciwszy krok Umrichin parę razy szybko zmienił nogę i spojrzal na Andreja. Ten nie wypuszczając noszy z rąk, oparł się ramieniem o grubą, chropowatą brzożę.

— Upuścisz go — krzyknął Umrichin. — Odepchnij chwilkę — poprosił Andrej. — Goraco mi okropnie.

— Goraco? Kładz nosze na ziemię. Położył Cjelujko na ziemi. Bez ustanku majaczył — wciąż opowiadał o wiosnie i o jakiejś dziewczynie.

— Ale lubi gadać! — nie wytrzymał Umrichin.

Andrej oparł się plecami o pień brzoży, rozpiął kołnierz watawanej kurtki. Umrichin spojrzal na jego twarz. Jak i wszyscy, w ciągu długich dni marszu Andrej wychudł mocno, ściemniał — zaczęła mu wy-

rastać bródka. Z jego skroni spływał teraz pot.

— Czyżbyś i ty? — szepnął Umrichin. — Obstąpili ich żołnierze. — Czego stanęliście? Zmienić? — Bo Andrej... — Co takiego? — Ja — nie... — wycharzał Andrej. —

Ja tak... — Stabuje — wyjaśnił Umrichin. — Gorac ma w sobie.

— Trzeba go zmienić. — Nie, ja sam — powiedział Andrej nachylając się ku nosom. — Nie trzeba. Sam będę miał. Odpocząłem — i teraz mi leży.

— Upuścisz go! — Młecz, Iwan! — obrócił się gwałtownie Andrej. — Nie do ciebie mówię! — Ani chybi, i on sobie nerwy nadpsuł — stwierdził spokojnie Umrichin. — Widzieliście? Słowa nie można powiedzieć, bo zaraz kipi.

Poszli dalej. Andrej czuł, że z każdym krokiem jest mu coraz trudniej dźwigać nosze, ale szedł i szedł — całą siłą, jaką jeszcze miał w sobie, walczył z chorobą. Niekiedy tak mu ciemniało w oczach, że przestawał widzieć tych, co szli przed nim, i wpadał na drzewa. Ale szedł — gdyż nabił sobie głowę tą jedną jedyną myślą: że musi iść na wschód...

Andrej był człowiekiem prostego, jasnego umysłu, prostych i niezłomnych postanowień. Skoro doszedł do wniosku, że powinien tak jak wszyscy dążyć na wschód, do swoich — od razu i bezwarunkowo podporządkował tej myśli całego siebie i tą myślą kierował się uparczywie. W czasie marszu przez błota i lasy Andrej doświadczył wielu rzeczy, które wpłynęły na dość istotną zmianę jego charakteru. Przechodząc przez miejscowości, gdzie gospodarowali Niemcy, całym sercem odczuł, jaki bezmiar niedoli zawił nad jego krajem ojczystym. Groza go przejęła, gdy zobaczył, jak ludzie potrafia być żli i nielitościwi. Teraz uświadomił sobie, że z jego duszy znikła cwa cisza, którą nosił w sobie od wczesnego dzieciństwa. Miał teraz w duszy tyle zgiełku, tyle niepokoju — los jego zemi rodzinnej był jego własnym losem. Andrej bardzo się zmienił pod wpływem tych doznań, a widąc to było we wszystkim: stał się mniej zgodny i dobry, z kolegami postępował śmielej, rozmawiał natarczywie, a niekiedy nawet zuchwale, robił wszystko szybko, ze zdwojoną energią i nieco nerwowo — tak go ponosiła ta burza, która powoli narastała w jego duszy.

Mrok szybko gęstniał. W pobliżu krętej drożki, którą posuwał się pułk, za młodym, dziko rosnącym lasem jodłowym nie widać już było pól. Po lewej stronie zaczął się obszar błota, zarosniętego trzciną i sitowiem; tu i ówdzie, na kępkach, rości koślawe brzożki i wiatle olchy. Od błota ciągnęło ostrym, zimowym chłodem. Brzożki i olchy chwylały się, na próżno szukając schronienia przed śmiertelnościami wiatrem — z daleka wyglądały tak, jakby uciekały z błota. Bez ustanku szumiła trzcina, a wysuszone sitowie sypało się przy każdym podmuchu wiatru.

Postukując stwardniałymi na kamieńci butami ozjerowcy szli, zgarbieni, chuchali na ręce, rozcierali uszy. Niektórzy dla rozgrzewki próbowali iść w podskokach, przypytywali w miejscu, łamiąc z trzaskiem lód na kałużach, zaważając w ciemności o gałęzie krzaków. Z rzadka wylatywały ponad wlokącą się kolumną urwki zdań i pojedyncze słowa:

— Zima? — Niedługo zima. — Zimno! Och, zimno!

A niezamordowany Cjelujko w dalszym ciągu z zachwytem opowiadał o czymś bardzo ważnym. Umrichin już z nim nie rozmawiał — bacznie śledził wzrokiem, jak idzie Andrej, i coraz częściej prosił go:

— Wolnego, wolnego, no, bo upadniecie! — I mrucał pod nosem: — A to pomylenie dopiero! Ze też takich ziemia nosi!

Umrichinowi dawno już zdrętwiały ręce. Palce miał zupełnie zimne od zimna. Bardzo pragnął żeby go ktoś zmienił przy noszach i parę razy już zagadywał o tym, lecz Andrej, nie słuchając lub nie słysząc go, wciąż szedł i szedł, choć oddychał ciężko, chrypliwie, i ledwie półoczył butami po kępce watawy ziemi — niezwykły, szalony upór miał w sobie ten barczysty wieśniak, zmagający się z chorobą.

„Ale zawzięte chłopisko! — rzemysłał ze zdziwieniem Umrichin. — Patrzcie, jaki diabeł z tej cichej wody wyskoczył — aż straszno z nim iść!”

Andrej szedł, obłany potem, nateżając wszystkie siły. Całą uwagę miał skierowaną na to, aby nie osłabnąć, nie potknąć się w ciemnościach i nie upuścić chorego; toteż tylko chwilami mógł obserwować, jak idą jego towarzysze, jak się ratują od straszliwego zimna. Ale wtedy, gdy widział, jak powoli, z wysiłkiem suwają nogami, czuł, że w jego duszy świeższe i wyje taki sam przedziwny wiatr...

Nie pamiętał, czy długo szedł niosąc Cjelujkę i co się działo po drodze. Ocknął się, gdy usłyszał w górze potężny warkot. Leżał z głową ułkniętą w sianie — prawdopodobnie koło jakiegoś stogu — i z początku ani rusz nie mógł skombinować, gdzie i co हुआ, chociaż dźwięki te były mu znane. Może burza przechodziła nad lasem? Poderwał się nieco i spytał pośpiesznie, chociaż nie widział jeszcze nikogo dokoła:

— Co to tak huzy? — Samoloty — odpowiedział ktoś tuż przy nim.

— Bombardują? — Nisko leżą — rzekł ten sam głos. — Znowu na Moskwę.

Andrej położył się i dopiero po kilku sekundach uświadomił sobie, że rozmawia z nim Matwiej Jurgin. Wtedy wszedł znowu głowę w sianie i wycedził przez zęby:

— Dranie! — a pomilczywszy chwilkę, spytał po cichu: — Czy do Moskwy... daleko?

— Teraz niedaleko — wyjaśnił Jurgin. — Jak twoje zdrowie?

— Cały jestem polamany.
 — A moja ręka widocznie zaczyna ropleć — poskarżył się Jurgin szeleszcząc sianem; w pierwszej potyczce z Niemcami na gościncu kula przebiła mu mięsień lewej ręki. — Skrzyłbyś mi papierosa, he? Masz paliwo?

Warkot w górę przesunął się daleko i ucichł. I nagie Andrejowi jakby się woda wylała z uszu — usłyszał, jak szumi wiatr, skrzypią drzewa w mroku, a w pobliżu stogu potrzaskuje pionący chrust i dźwięczą ludzkie głosy. Andrej podniósł się, usiadł i jakby teraz dopiero poznał Jurgina, spytał:

— To ty, towarzyszu kapralu?
 — Widać, że kiepsko z tobą — zauważył na to Jurgin. — No, trzymaj się, bracie, zbieraj siły, jak możesz. Teraz już niedużo zostało nam drogi. Wkrótce przedzienny przez front, spotkamy nasych — tam odpochniemy, łaźnię sobie zrobimy...

— Dojdę — oświadczył stanowczym głosem Andrej. — Chcesz zapalić? Zaraz. Skracając Jurginowi papierosa Andrej spoglądał dokoła. Z dala od stogu — pod jodłami — płonął ognisko. Żołnierze zbierali się grupkami koło ognisk, ponad głowami towarzyszy wyciągali ręce do stosów chrustu ogarniętych ogniem, chwytali garściami płonące gałązki i rozcierali nimi zmarznięte palce. Andrej zrozumiał, że leżał nieprzytomny koło stogu bardzo krótko — pułk dopiero rozbił obozowisko. Podając Jurginowi papierosa spytał:

— A gdzie Cjełujko?
 — Wszyscy są z tamtej strony.

Nachylając się nad zapalniczką Andrej usłyszał, że za stogiem mruczy Umrichin, i zorientował się, że chodzi o koto ranych i chorych. „A, do jasnego morza! — rzekł w duchu Andrej ze zdziwieniem i gorczyca. — Cóż mnie tak zmorzyło? Papieros czemuś mu nie smakował, więc upalił kawałek, resztę oddał Jurginowi, a sam znowu legł pod stogiem. Ale skoro wciągnął w nozdrza ciężki, trącający zgnilizną zapach siana, znowu skoczył na nogi, poszperał ręką, wyciągnął ze stogu pęczek wychniętych lodyżek.

— Jest! A to mi się udało!
 — Coś tam znalazł? — spytał Jurgin.
 — Krzyżownicę. Taką trawę, co goi rany. Teraz ci, towarzyszu kapralu, wyleczę rękę. Poczekaj tylko. Czujesz w niej rwanie?

— Rwie jak licho. I zgnilizną cuchnie.
 — Wyleczę! — powtórzył Andrej z ożywieniem i pewnością siebie.

Zaczął grzebać w sianie, szukając lodyżek krzyżownicy. Jurgin po raz pierwszy, za cały czas wędrówki, spośnieiał.

— Kiepsko mi idzie — powiedział westchnąwszy. — A matka twierdziła, że się „w czepku urodziłem”; powinienem być szczęśliwy, no i masz — same niepowodzenia! Co ja teraz będę robił z jedną ręką? Jak będę wojował? Przecie to po prostu kara, daję słowo! Smaruj mi rękę, czym chcesz — nie tylko trawą, ale nawet każdym, jakimkolwiek innym świństwem — wszystko zniosę, tylko, na miłość Boską, przywróć mi w niej władzę! Mnie teraz więcej rękę by się przydało... Dwie nie wystarczą! Żebym miał nawet dziesięć — wszystkie miałyby co robić! Ech, zabawiliby się wtedy z Niemcami!

— Zebrałszy sporą ilość krzyżownicy Andrej zaproponował:
 — Chodźmy do ognia. Nie białd, wyleczę ci rękę.

W zachodniej stronie, skąd szedł pułk, rozległ się potężny wybuch, potem drugi, trzeci... Ozjzerowcy powstawali i zaczęli nasłuchiwać. Andrej powiedział ostro:

— To nie ma najmniejszego sensu!
 — Dlaczego nie ma sensu? — zaprzeczył Jurgin. — Zdarza się okazja — bij, pal! Jak wojna, to wojna! Wyszadziliśmy w powietrze skład, a czy wiesz, ile tam mogło być pocisków? Ilu naszych ludzi zginełoby od nich?

— Tak to niby jest — odpowiedział Andrej. — Ale przecie front mamy blisko, a więc i Niemców kupa. A jak zrobimy pościg? Co wtedy? Gdzie się podziejemy z rannymi i chorymi? Choć wszystkich ręce świerzbia, lepsze chyba takie wyrachowanie: iść po cichu, po myśliwsku. Jeśli trafią na nasz ślad — jaki z tego będzie pożytek?

Przeszło godzinę ozjzerowcy siedzieli przy ogniskach, otaczając je zwartymi kolumnami, trwoniąc nasłuchiwać poszumów leśnych. Wreszcie gdzieś daleko rozbrzmiały nawoływania placówek, potem różne głosy i kroki, po zmarzniętej ziemi. Do jednego z ognisk, na czele niewielkiej grupy żołnierzy, podszedł szybko kapitan Ozjerow — ubrany jak zwykle w żołnierską watawaną kurtkę, z większą czapką futrzaną na głowie. Chlaspnąwszy białym po ogniu rozkazał:

— Gasić!
 Podskoczył do niego dowódca batalionu Gołowko.

— Odmarsz!
 — Wygląda na to, żeś miał rację — zauważył Jurgin zwracając się do Andreja.

Jedna po drugiej padały komendy. Pułk szybko przygotował się do drogi. Żołnierze nosili w menażkach wodę z pobliskiego bajora i pośpiesznie zalewali ogniska.

Michał Bubiennow

KSIĄŻKI NADEŚLANE

Józef Ignacy Kraszewski — Syn Jazdona, Tom I. Wyd. Ludowe, Warszawa 1949 r., str. 491.

Karol da Coster — Osobliwe przygody Dyla Sowidzdrza. Przełożył Przemysław Smolik, „Książka i Wiedza”, Warszawa 1949, str. 484.

Anatol France — W cieniu wieżów. Przełożył Jan Sten, „Książka i Wiedza”, Warszawa 1949 r., str. 149.

Maksym Gorki — Moje uniwersytety, przełożył St. Strumph-Wojtkiewicz, „Książka i Wiedza”, Warszawa 1949 r., str. 151.

D. Jarząbek — Skamielinności — „Książka i Wiedza”, Warszawa 1949, str. 141.

Józef Dzierżkowski — Salon i ulica. Opracowała i wstępem opatrzyła Janina Rosnowska, „Książka i Wiedza”, Warszawa 1949 r., str. 198.

Antoni Marjanowicz — Przejrzyste słońce — „Książka i Wiedza”, Warszawa 1949 r., str. 65.

Wktor Woroszyński — Weekend Mister Smitha — „Książka i Wiedza”, Warszawa 1949 r., str. 53.

J. B. Priestley — Jasny dzień — Spółdzielnia Wyd.-Oświatowa „Czytelnik”, 1949 r., str. 433.

Artur Miedzyrzecki — Strony Przyrodne — Paryż 1942.

Pod redakcją Wiktora Steffena i Władysława Strzeleckiego — EOS organ Polskiego Towarzystwa Filologicznego, Rocznik XLIII 1948 — 1949, zeszyt 2. Wrocław 1949. Wydano z zasiłku Ministerstwa Oświaty.

JULIUSZ ŻULAWSKI

Z TEATRÓW WARSZAWSKICH

SEZON naprawdę nowy jeszcze się właściwie nie rozpoczął. Poza „Amfitrionem 38” w Teatrze Rozmaitości i „Panem z milionami” w Syrenie — na scenach stołecznych ukazują się ciągle jeszcze wznowienia widowisk z końca sezonu ubiegłego. Dzieje się to zarówno w teatrach pomniejszych, jak i w większych, bo nie jest nową pozycją ani „Gwiazda Stevensona” ani „Wiosna w Norwegii” ani nawet „Na dzień”, chociaż sztuka ta ukazała się na terenie warszawskim w częściowo zmienionej obsadzie.

Albowiem zwołki nie zawsze bywa opieszalszą. Może być tym powodem także przygotowanie do wielkiego uderzenia, do rozpoczęcia sezonu rzeczywistego nowego. Warunki do nowego startu teatrów warszawskich zostały utworzone. Stworzono je trudną, wielomiesięczną pracą reorganizacyjną, obejmującą teren całego kraju. Upanowano szereg teatrów, przeprowadzono poważne remonty i inwestycje, wpro-

wadzano system stałych zespołów, kończąc w ten sposób nareszcie z zenującym już dzisiaj corocznym widowiskiem „głędny” aktorskiej i dającą teatrom możliwość owocniejszego, długofalowego planowania pracy; w wielu wypadkach poprzynoszono dyktando i całe zespoły, a nawet szkoły dramatyczne — tworząc w rezultacie w Stolicy najsilniejszy ośrodek teatralny, który może stać się — dzięki nagromadzeniu w nim najlepszych i najbardziej postępowych sił teatru — warszawskim nowym repertuaru i kuźnią nowego stylu. Sprawdzono do Warszawy Schillera wraz z najpoważniejszymi jego współpracownikami, sprawdzono Axera z całym zespołem, z najlepiej dziś — dzięki wioletolejnemu już trwałości — zgranym zespołem w Polsce, powierzono nowoobudowany Teatr Narodowy Krasnowieckiemu i Daszewskiemu.

Życie teatralne Warszawy w rozpoczynającym się sezonie jest już o tych wybitnych kierowników sceny i o ich wspólny-

pracowników bogatsze. Ale zmiany, przeprowadzone w związku z tym w całym kraju, tu i ówdzie wydają się nam nie najszczęśliwsze. Nie jesteśmy pewni, czy na przykład osadzenie w najważniejszym teatrze łódzkim eksperymentatorskiego zespołu Gałła da dobre rezultaty i czy teatr ten spełni taką rolę, jaką spełniać powinien w tym na wskroś robotniczym mieście. Może raczej wzmożenie teatru Adwentowicza z jego skłonnościami do rzetelnego realizmu byłoby posunięciem słuszniejszym.

Wracając jednak do spraw warszawskich. Z planów najpoważniejszych teatrów tutejszych wynika, że borykającą się do tychczas z biernym oporem teatralnego rutyniarstwa naszą polityka repertuarowa odnosi wreszcie z początku coraz widoczniejsze sukcesy. Teatr Polski, który pod kierownictwem Schillera zrywa zupełnie w swych planach z repertuarem mieszczańskim, wystawi w tym sezonie — po granej obecnie sztuce „Na dzień” Gorkiego — „Wesołe ku-

moszki z Windsoru” Shakespear’a w reżyserii Ordynskiego, Bułhakowa „Aleksander Puskim” w reżyserii Wyszołzkiego, Fredry „Mąż i żona” w reżyserii Korzeniowskiego, dalej „Kordiana” Słowackiego, „Egmonta” Goethego, „świętą Joannę” Shaw’a, a z tym samym kierownictwem związany Teatr Kameralny wystawi w najbliższym czasie „Dwa obozy” współczesnego estońskiego dramaturga Jacobsona. Teatr Współczesny pod kierownictwem Erwina Axera wystawi po „Gwiazdzie Stevensona” nową sztukę Kruczkowskiego „Niemy” i Sofronowa „W pewnym mieście”. Teatr Rozmaitości pod kierownictwem Damięckiego wystawi będzie po „Amfitrionie 38” — „Mazepę” Słowackiego, Simonowa „Zagadnienie rosyjskie” i „świętą” Mollera. A Teatr Narodowy pod kierownictwem Krasnowieckiego i Daszewskiego — na otwarciu podwoi po dziedziściu latach — przygotowuje dwie ambitne pozycje: „Faraona” Prusa w adaptacji scenicznej i „Igora Bułyczowa” Gorkiego. W teatrze tym — którego pełny tytuł brzmi: Teatr Narodowy im. Wojska Polskiego — oglądać też będziemy występy wojskowego Objazdowego Teatru Dramatycznego, który pod kierownictwem Chaberskiego rozpocznie swój sezon „Matką” Gorkiego, oraz występy wojskowego Zespołu Pieśni i Tańca.

Tak to ładunek cenny noszą nasze najważniejsze teatry, zeglując ku nowemu okresowi życia teatralnego Warszawy, ku widowni społecznie nowej, zasługującej na lepszy repertuar, niż ten, którego sceny warszawskie dostarczały jej dotychczas. Czekamy z ciekawością na realizację nowych zamierzeń i naprawdę nowego stylu. W zapowiedziach obecnego kierownictwa Teatru Polskiego czytamy: „Teatr, który pragnął by oprzeć swą twórczość na tajemniczych dyskusjach, w rychłym czasie zanudziłby na śmierć swoje audytorium. Z drugiej strony teatr popularyzujący się wyłącznie wirtuozerią aktorów lub magią inscenizacji czy scenografii, mógłby liczyć jedynie na elitę snobów — a ci są u nas na wymiarciu”. Prawdziwie pocieszające na przyszłość wydaje się nam to oświadczenie.

Najbliższy kwartał obecnego sezonu wypełni przede wszystkim ogólnokrajowa impreza, która na wzbogacenie scen warszawskich wpłynie w sposób szczególnie interesujący. Będzie to wielki festiwal sztuk rosyjskich i radzieckich, który — podobnie jak w roku zeszłym festiwal szekspirowski i projektowany na rok przyszły festiwal polskich sztuk współczesnych — zakończony zostanie konkursem w Warszawie. Festiwal ten, organizowany przez Departament Przedsiębiorstw Artystycznych Ministerstwa Kultury i Sztuki w współpracy z nowopowstałym Studium Teatrologicznym — rozpocznie się już dnia 12 października specjalnym przedstawieniem „Na dzień” Gorkiego w Teatrze Polskim, a obejmie niemal wszystkie teatry warszawskie i prowincjonalne. Da to w sumie obrzymi i ciekawy przegląd klasyków dramatu rosyjskiego i radzieckiego, w których — w eliminacji przedstawienia prowincjonalne przesuną się kolejno i przez sceny warszawskie. Festiwal trwać będzie do połowy grudnia.

Przełęcz przedrewolucyjnych klasyków rosyjskich, jak Czechow czy Gogol, przegląd klasyków dramatu radzieckiego, jak Gorki, aż do współczesnych dramaturgów radzieckich, jak Bułhakow, Simonow, Sofronow i inni — to jednocześnie przegląd wielkiej drogi teatru realistycznego, teatru czujnego na najgłębiej istotne zagadnienia społeczne, coraz bardziej oddanego sprawom walki klasowej, coraz bliższego masom i życiu tych mas, coraz bardziej zainteresowanego kształtowaniem ich świadomości politycznej. Dla nowego teatru polskiego i dla nowej naszej widowni będzie to niewątpliwie przegląd cenny i głęboko pouczający.

Z dużym nadziejami czekamy pełnego rozwinięcia przez teatry warszawskie ich nowego sezonu. Mimo, że jedynie dwa rzeczywiście nowo opracowane widowiska tego sezonu — „Amfitrion 38” w Teatrze Rozmaitości i „Pan z milionami” w Syrenie — nie wzbudziły w nas zbyt wielkiego entuzjazmu. Reżyser Teatru Rozmaitości nie uchwycił niestety zalet „Amfitrion 38” i w ogóle najistotniejszych zalet Giraudoux, próbując budować przede wszystkim postaci, ich charaktery, uwypuklać — daleko chyba od intencji autora — moralną stronę całej sprawy Jowisza i wierznych sobie małżonków. Mówiąc po krótko — a zatem nie ujmując oczywiście zagadnienia w sposób dostatecznie pełny — wydaje nam się, że Giraudoux, na szczytach tego gatunku estetyki, jaki w jego czasach rodzi jego klasa społeczna, nie traktuje zagadnień moralnych zbyt serio. Toteż w „Amfitrionie 38” rzecz istotną — a jednocześnie dla nas najciekawszą — jest raczej ów racjonalistyczny stosunek do spraw boskich i ludzkich, kpiący sposób ujmowania metafizyki i mitów. Tym przede wszystkim skrzy cały tekst „Amfitriona 38” — i od tej strony należałoby ten tekst wyciągnąć na scenie.

Wystawionej w Syrenie komedii Riskina „Pan z milionami” nowa adaptacja sceniczna niestety nie pomogła. Bo też pomóc nie mogła. Tak jak nie pomaga naśladowanie przez aktorów odpowiednich postaci z przedwojennego filmu. W sumie widowisko jest po prostu nudne. Dlaczego? Bo postać pocziwego Amerykanina z nilantropijnym „bziakiem” stała się już w międzyczasie szablonem. Bo „szlachetność” rozwiązywania spraw społecznych przez prywatną filantropię pachnie z daleka najobrzydliwszym ustrojem, jaki ludzkość stworzyła. Bo mieszczańskie konflikty, mieszczańskie smutki i radości pana Longfellow nie nas nie obchodzi. Już nas one dzisiaj naprawdę — gdy patrzymy z widowni — nie potrafią wzruszać! Bardzo przepraszamy za to cały zespół, który przeciwieście tyle pracy w to widowisko włożył, ale cóż poradzimy na to?

Nie wierzymy w przyszłość pana Longfellow. Choć wierzymy w przyszłość wykonawcy tej roli. I wierzymy również, że Teatr Syrena najprędzej w nowym sezonie swój własny repertuar wśród coraz lepiej przemyślanych zamierzeń innych teatrów warszawskich.

Juliusz Żułowski

ODBUDOWANO TEATR NARODOWY

Każdy z nas codziennie spotyka świetne niespodzianki odbudowującej się Warszawy. Ale każdy z nas, zażyty codzienną pracą, rzadko wykracza poza swój utarty szlak i rzadko dostrzega, że odbudowa ma wszędzie jednakże nęczenie i że jeśli gdziekolwiek nie chwycimy jej na gorącym uczynku, to za chwilę — jednocześnie z komunikatami prasowymi — trafimy już tylko na dzieła gotowe, które szybko powszednią i szybko stają się przedmiotem codziennego użytku, tak jak czymś już oczywistym i niezastąpionym stała się trasa W—Z, urbanistyczny monument stolicy.

Dawno nie byłem na Placu Teatralnym, ponieważ tamtędy od dawna nie prowadzą moje utarte szlaki. Miałem w oczach zrujnowany Ratusz, wypalony gmach Teatru Wielkiego i perspektywę na ulicę Białą, gdzie — niby resztki niedomieszczonego kamieniołomu — sterczały ruiny dawnego Banku Polskiego z domyślnym zakolem ulicy Daniłowiczowskiej.

Któż z nas aż tamtych lat nie pomni? Rozległy balkon lub raczej taras na piętrze Teatru Wielkiego, gdzie wychodziło się z pierwszym w życiu oficjalnym papierosem. Zegar bił dziesiątą czy dziesiątą, strażacy w bocznej bramie Ratusza polyskiwali złotymi kaskami, a seledynowa luna wiosennego wieczoru sięgała nicomal głowy pomnika Bogusławskiego, który tu postawiono w naszych oczach. W tym gmachu oglądaliśmy spektakle na trzech scenach: scenie operowej (która w okresie międzywojennym nie miała szczęścia do dobrych widowisk), przeznaczonej dla repertuaru klasycznego, scenie Teatru Narodowego i na kameralnej scenie Teatru Nowego. Przeżyliśmy od tego czasu wiele doświadczeń. Wyjaśniły się i uwyraźniły zagadnienia. Wątpię, czy ktokolwiek z nas mógłby teraz zachwycać się mistycznymi rebusami „Edypa” Cocteau, którego tu niedgdy oglądaliśmy w Teatrze Nowym, bo wyobraźnia zmienia się razem z historią.

Jednakże nasza doświadczenia już wyobraźnia z radością wita scenery przyszłości. Sceneria ta zjawia się przed nami w tym miejscu tak niespodziewanie, że po prostu i tradycyjnie nie wierzymy własnym oczom. Odbudowano Teatr Narodowy, jedyną z trzech scen dawnego Teatru Wielkiego i właściwie jego scenę główną. Odbudowy dokonało Ministerstwo Obrony Narodowej, fundując tu obiekt teatralny Domu Wojska Polskiego.

Pragnę zasygnalizować czytelnikom to dzieło, zanim stanie się ono obiektem codziennego użytku. Konferencja prasowa, na którą kierownictwo Domu Wojska Polskiego w Warszawie zaprosiło literatów i dziennikarzy, umożliwiła zarówno zwiedzenie odbudowanego w dawnej postaci prawego skrzydła Teatru Wielkiego, gdzie mieścił się i oddał znowu mieścić będzie Teatr Narodowy, jak i zapoznanie się z całością programu repertuarowego nowej i naprawdę wspaniałej sceny warszawskiej, wyposażonej w najbardziej nowoczesne urządzenia techniczne, które gwarantują mającym tu grać zespołom aktorskim optimum warunków do pracy. Dość wspomnieć, że obrotowa i zapadająca się scena liczy 16 metrów średnicy i rozporządza kompletem kilkudziesięciu potężnych reflektorów, że specjalna maszynaria umożliwia spuszczenie dekoracji z góry — wprost z malarni — na scenę i że aktorzy mają zapewnione indywidualne garderoby z natryskami. Zaopatrzona w wygodne fotele widownia na 890 miejsc nie zmienia swego dawnego wyglądu. Nie zmieniły również wyglądu dawne sale readowe, ciągnące się w amfiladzie na piętrze wzdłuż Placu Teatralnego.

Ustalono, że odbudowany jako Dom Wojska Polskiego gmach byłego Teatru Wielkiego stanie się terenem działalności trzech zespołów scenicznych. Dwa z nich będą własnymi zespołami Domu Wojska, a mianowicie: Objazdowy Teatr Dramatyczny pod dyr. E. Chaberskiego oraz Zespół Pieśni i Tańca pod dyr. ppłk. T. Ratkowskiego. Obydwa te zespoły zajmą swymi spektaklami scenę na dziedziściu dni w miesiącu. W pozostałe dni każdego miesiąca grać będzie Teatr Narodowy im. Wojska Polskiego. Ten teatr powstało do życia Ministerstwo Kultury i Sztuki. Dyrekcję powierzono W. Krasnowieckiemu. Sale Redutowe przewidziano na codzienne imprezy kulturalno-artystyczne. Szeroko pomyślany system abonamentowy umożliwi rozprzężenie biletów wśród mas pracowniczych, dzięki czemu nowa placówka teatralna Warszawy stanie się instytucją prawdziwie demokratyczną.

Zapowiedziane na 12 października b. r. otwarcie Domu Wojska Polskiego związane z upływającą w przeddzień szóstą rocznicą bitwy pod Lenino. Inauguracyjny wieczór artystyczny obejmie historię polskiej sceny żołnierskiej z czasów ostatniej wojny. W ramach tego wieczoru autentyczni, ów-

czesni wykonawcy zainscenizują nam autentyczne, ówczesne spektakle żołnierskie. Ponieważ zaś pierwszym miesiącem działalności nowego Teatru jest miesiąc przyjaźni pisko-radzieckiej, przeto Objazdowy Teatr Dramatyczny jeszcze w październiku wystąpi ze sceniczną adaptacją „Matki” Gorkiego, zgłaszając tym samym akces do konkursu sztuk radzieckich, który zostanie rozstrzygnięty z końcem roku bieżącego. Na-

ską Polskiego będzie prawdopodobnie adaptacja teatralna „Faraona” Bolesława Prusa.

Wspólną cechą ideologiczno-programową wszystkich trzech teatrów „jest — jak to określiło kierownictwo Domu Wojska Polskiego — dążenie do tworzenia nowych wartości kulturalnych i artystycznych w oparciu o postępowe tradycje naszej kultury, dążenie do usunięcia wioletolejnego



Fragment widowni odbudowanego Teatru Narodowego w Warszawie

stępna premierą będą słynne „Przygody Szwajka” w adaptacji scenicznej Anatola Sterna, a na trzecią z kolei pozycję repertuaru wybrano przeróbkę sceniczną „Szozy wokołami” Aleksandra Beka.

Premierą Teatru Narodowego im. Wo-

jska Polskiego będzie prawdopodobnie adaptacja teatralna „Faraona” Bolesława Prusa. Wspólną cechą ideologiczno-programową wszystkich trzech teatrów „jest — jak to określiło kierownictwo Domu Wojska Polskiego — dążenie do tworzenia nowych wartości kulturalnych i artystycznych w oparciu o postępowe tradycje naszej kultury, dążenie do usunięcia wioletolejnego

NA PÓLKACH KSIĘGARSKICH

Karol Koźmiński. Sułkowski Jakobinowski. — Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1949. Str. 163 i 1 nl. i tabl. 1.

Niewielka książeczka Karola Koźmińskiego o Józefie Sułkowskim jest najdłuższą wydawną pozycją serii „Żywoty znakomitych Polaków”, wydawanej przez PIW. Krótkie lecz burzliwe były dzieje dwudziestopięcioletniego zaledwie życia tego „jakobina polskiego”, potomka arystokratycznego rodu i wychowanka pana na Rydzynie, księcia Augusta Sułkowskiego.

Józef Sułkowski szybko wyzwoził się spod opieki tego magnata, którego bogactwa cuchnęły rublami carowej. Przechodził szczeble kariery wojskowej w słynnym pułku Działyńskiego, odznaczył się w bitwie pod Żelwą, a później — po Targowicy — uciekł do Francji, gdzie rewolucja święciła triumfy. Służył w dyplomacji francuskiej, a następnie w wojsku Republiki, był adiutantem Napoleona, wziął udział w jego wyprawie egipskiej i w październiku 1798 r. roznieśiony został na szablach zbuntowanych Arabów pod Kairem.

Kwalifikacje umysłowe i talenty wojskowe zyskały Sułkowskiemu wśród francuskich przyjaciół i przełożonych miano „genialnego”. W Polsce rozbitkowej, sprzedawanej przez magnatów ośmiennym pętem nie było miejsca dla takich jednostek. Zwiastując, że ten młodociany „geniusz” — Józef Sułkowski nie ukrywał swych radykalnych poglądów politycznych i społecznych, dawał wyraz zachwytom dla Rewolucji Francuskiej, żądał wolności i równo-

ści dla wszystkich ludzi w Polsce, zwracając przede wszystkim rozumną myśl i współczucie serce ku najbardziej podówczas upośledzonemu stanowi chłopięciu. Na tle upadku i rozkładu moralnego warstwy możnowładczej, Józef Sułkowski był niewątpliwie, osobistością wyjątkową. Żył wie i oddał w obec służbie — i niepostrzeżenie, a ta śmierć była symbolem losów wielu innych współczesnych mu polskich żołnierzy — tułaczy.

Monografia Koźmińskiego ma poważne mankamenty, na które redakcja „Żywotów” powinna była zwrócić uwagę przed oddaniem tej pracy do druku. Nie dość wyraziście, bo raczej ogólnikowo, podmalowana została społeczna to epoki, zaś co do samej postaci Sułkowskiego — za dużo znajdujemy szczegółów o jego karierze wojskowej, za mało natomiast o tym, co określałoby bliżej jego poglądy i programy reformatorskie. Razi styl zbyt „odszyty”, kwiecisty i żwawy, upodobniający opowiadanie zyciorysowe do jakichś „czytanek” czy „obrazków” historycznych. W pracy o Sułkowskim wolelibyśmy mniej tych łatwych, banalnych trzeszów, stojących „polskiego jakobina” w romantyczne nieco kondoterskie szaty, więcej natomiast ścisłych i ważkich realiów historycznych, które pozwoliłyby ująć epokę i bohatera — z pozycją dzisiejszości — we właściwych proporcjach i współzależnościach. Spośród wydanych dotychczas tomów serii „Żywoty znakomitych Polaków”, opracowanie Koźmińskiego wydaje mi się najslabsze.

bd.

ALEKSANDER JACKIEWICZ

EPOS O LUDZIACH I WILKACH



Mikolaj Wirta

„Otoż to jest właśnie rewolucja! Trzech braci i trzy losy!” — powyższe słowa Lenina przytoczone w książce Mikolaja Wirty pt. „Samotność”, określają jej tematyczne założenie. Chodzi o braci Starożew, których Rewolucja Październikowa postawiła w dwóch przeciwnych obozach.

Zacznijmy od Siergieja. Wirta potraktował tę postać dość szczerze, ale jej pozycję na opisywanym etapie historycznym określił całkowicie wyrażnie. Siergiej syn chłopca — średniaka, podczas wojny światowej żołnierz carski, kierując się zdrowym instynktem i rzetelnym poczuciem solidarności ze swoją klasą, połączył się w momencie wybuchu rewolucji z obozem czerwonych. On to w okresie wojny domowej czynnie zwalczał kulackie powstanie Antonowa, na realizację po odbiciu swej rodzinnej wsi z rąk powstańców, wskazywał Lenina, aby nie siłą fizyczną, nie zbrodnią i okrucieństwem lecz perswazją, akcją wzajemnej pomocy, wielkoosobniczą skłonił wreszcie do przyjęcia władzy radzieckiej i w ten sposób wydobyci ją z gospodarczego upadku, zaś jej ludzi wyprowadzić z ideologicznego chaosu, w jaki wtrąciła ich wojna domowa. Postać drugiego brata Siemiona — autor nam właściwie nie ukazał, miejsce jej jednak w obrazowanym momencie historycznym zostało wyraźnie zaznaczone. Siemion, ciężko pracujący chłop małorolny, przez pewien czas się wahał z wyborem pomiędzy ruchem czerwonych i białych. Wreszcie zdecydował się na przymierze z rewolucjonistami. Te jego pozycje i inne podobne ciekawie opisał autor od strony Siergieja. „Nie zdecydowany, surowy i wiecznie cymś urażony brat Siemion wydał się Siergiejowi Iwanowiczowi... jednostką typową, w stosunku do której wyraz — sprzymierzeniec — przestał być abstrakcją. Oto jest sprzymierzeniec — Siemion Iwanowicz Starożew. W zależności od tego, czym będzie sprzymierzeńcem, czy brata Piotra czy też brata Siergieja, potoczy się los rewolucji. I oto przed nim znajduje się prawie kopia brata Siemiona — Andrzej Andrzejewicz. Jakże głębokie przeciwieństwa tkwią w tym człowieku. Dziś Andrzej Andrzejewicz wydaje się swój — a przecież przez wiele miesięcy popierał Antonowa i wierzył w niego! Dziś chce iść z bolszewikami. Albo znów ten woźnica Nikito Siemionowicz... Miłośnik śpiewu cerkiewnego, przyjaciel popa, a teraz — ochotnik, wywiadowca, komunista — wciąż jeszcze tęskniący do chorów cerkiewnych. Albo znów Łońko zbieg od Antonowa. Postać Łońki może najbardziej plastycznie określa pozycję ludzi znajdujących się na pograniczu ruchu rewolucyjnego. Chłopiec z początku służył reakcyjnemu Piotrowi Starożewowi, lecz — zniechęcony przez swego pana — przeszedł do czerwonych. Z czasem staje się jednym z najzaciętszych bojowników, mszcząc się na białych wciąż z powodów uczuciowych — za nieszczerze w jakie bezmyślnie i okrutnie wtrącił jego dziewczynę — Nataszę”.

Zasługa Wirty jest właśnie tak często pomijany przez wielu pisarzy fakt zróżnicowania ludzi służących jednej sprawie. Obóz rewolucyjny dlatego właśnie wypada w omawianej powieści przekonująco i realnie, bo pełen jest wyraźnych zarysowanych sylwetek ludzkich, bo jest wyznaczony powikłanymi liniami ich losów.

Oto stan ducha Siergieja po X Zjeździe Partii oraz po rozmowie z Leninem, w czasie której padły cytowane na wstępie niniejszej recenzji słowa o rodzinie Starożewów. „Zdawało mu się, że teraz przejrzał najgłębsze tajemnice walki, ujrzał wszelkie sprzeczności i skomplikowane drogi istnienia ludzkich, że dopiero teraz, kiedy zrozumiał słowa Lenina, przekroczył ten okres życia, w którym wszystko było po uczniowsku zaszeregowane, rozmieszczone w szufladkach pojęć, i schematów społecznych.

Był dorosły, a jednak jak gdyby jeszcze raz dorósł do zrozumienia treści życia. Wszystko, co przed tym zdawało się proste — okazało się teraz skomplikowane. Zrozumiałe i jasne stało się natomiast to, co zblizła człowieka do jakiejś klasy, albo go od niej oddziela. Patrząc na otaczających go towarzyszy Siergiej rozważał dalej: „Jaka rozmaitość myśli, chęci, charakteru, nastroju! Wszystko zaś trzeba zjednoczyć w imię jednego: w imię walki ze złem świata, które jest ucieleśnione w osobie brata Piotra, w imię rewolucji i jej zwycięstwa, w imię przyszłości tych ludzi i nowych pokoleń”.

Kimże jest znów Piotr Starożew, o którym nawet rodny brat myśli jako o uosobieniu sił wrogich ludzkości? Jaki motywy podziela na przestrzeni całego utworu poprzez zbrodnię i nienawiść do zupełnego osamotnienia, do całkowitego wyosobnienia się ze społeczności ludzkiej?

*) Mikolaj Wirta „Samotność” tłum. Krzysztof Mianowski, wydał „Czytelnik” (K.D.K.) 1949 r.

W jednym z pierwszych rozdziałów powieści autor pisze, że Piotr „często widział we śnie... tysiące dziesięcin, widział nie objętą wrokiem równinę gliniastej ziemi, poprzecinanej rzeczkami i parowami, dziesięciną żywej, urodzajnej roli — a on, jej gospodarz, Piotr Iwanowicz Starożew, kroczyl po niej. Nie było końca tej skapaniej w słońcu ziemi... Ziemia! Pulchne grzędy, w które tak lubił zanurzać ręce. Kruszyć ją w palcach, wachać i kłaść na języku. Tusta, gorzka ziemia, wszystko w niej zawarte — poważanie, pieniądze, władza...”

A oto inny obraz: Piotr wydziedziczony z swych dóbr, zniechęcony przez wice, partyzant, opuszczony przez swoich kamratów, niby głodny wilk przychodzi na swoje dawne pola i oto widzi na nich innego gospodarza, który „wzszedł w żyto, rozcinając pierśią jego zwartą, zieloną ścianę. Podniósł brodę do słońca i uśmiechnął się. Wiatr poruszał jego długimi włosami, słońce oblewało go ciepłem. Panował cichy, radostny urodzajny spokój... Człowiek zbliżył się. Piotr Iwanowicz poczuł w nim Matwieja Bezarpostowa... Matwiej szedł ku niemu. Twarz zaościła siwą szczytiną uśmiechała się do wieczornego słońca, szedł bosy z rozpiętym kołnierzem w koszuli. Starzec głośno rozmawiał ze sobą: — Błogosławieństwo! Ach jakie piękne kłosa! Kochane, aj, jakie piękne... ładne zboże!”

Porównajmy teraz dwa cytowane fragmenty i dwóch opisanych ludzi. Zarówno Piotr, jak i Matwiej są głęboko przywiązani do roli, podobny zachwyt przenika ich na widok urodzajnych pól, w równym stopniu odczuwają piękno żyjących kłosów, lecz podczas gdy zachwyt Matwieja jest bezinteresowny, Piotr traktuje ziemię jako środek do zdobycia pieniędzy, a dzięki nim — władzy nad ludźmi. Ten moment, ta zdawałoby się niewielka różnica, dzieląca opisanych ludzi, decyduje o ich stosunku do świata, a w chwili próby — o ich losie. Świat Piotra został przez Wirtę opisany o wiele bardziej szczegółowo, niż strona jego przeciwników politycznych. Autor rozciął przed czytelnikiem barwny obraz powstania kulaków pod dowództwem Antonowa. Wielkie partie książki zajmują charakterystyka tego ruchu. Rzeczej Antonow aniżeli Piotr jest tu głów-

nym bohaterem. Antonow to również sylwetka bardzo ciekawa, i, jak zawsze pod piórem Wirty, daleka od banalności. Wódz kulaków nie wierzy w nic, ani w żadne ideały, ani w ludzi. Motorem jego działania jest pragnienie wielkiej przygody i pragnienie władzy. Życie dostarcza mu po temu okazji. Antonow nie jest człowiekiem w gruncie rzeczy złym ani głupim: w tym leży siła omawianej postaci. Jest wielki na swój sposób, jego śmiałość, energia, zmysł orientacyjny — predysponują go na wodza, na żołnierza. Ale w braku głębszych uczuć ludzkich, w braku ideałów, w braku poczucia sprawiedliwości społecznej — staje się on popositlonym zbrodniarzem. Jego akcja niesie nieszczęście, gwałt i śmierć. Osamotnienie Antonowa, podobnie jak samotna samotność Piotra, którego na ostatnich kartach powieści jego ukochany syn wita słowami: „Obcy, obcy!” — jest najtragiczniejszą nutą utworu. Obaj postawili na fałszywą kartę, obaj przegrzywają, ale w obliczu klęski nie umieją i nie chcą cofnąć się z swej drogi, sami zapędzają się w coraz większą nienawiść do świata chcą na nim mścić własne błędy, jakby świat ponosił za to winę.

Wirta ustrzegł się w sposób godny podziwu błędów jednostronnego traktowania tzw. ciemnych charakterów, tak jak (widzieliśmy to wyżej) nie wybielał i nie schematyzował postaci pozytywne. Piotr i Antonow mają swoje piękne momenty, kogoś kochają, za czymś tęsknią, cierpią prawdziwie i po ludzku, ale wszystkie te uczucia rozgrywają się w paradoksalnym kontekście, w oparach łaź i zbrodni.

Wirta bardzo interesująco zakończył książkę: zarówno Piotr jak i Antonow uszli cało z pogromu, Antonow postanowił przywarować i czekać odpowiedniego momentu, aby znów pokazać swe pazury. Piotr zaś, który uczyniłszy rodzaj próby pogodzenia się z radziecką rzeczywistością i stwierdziwszy, że nie ma już dlań powrotu do społeczności ani nawet do własnej rodziny, z której dobrowlnie się wycofał — rusza w las, starając się przebić do nieobitków białej partyzantki. Jest to zakończenie wiele mówiące, wychodzące nie jako poza tekst utworu, zakoficzenie, które staje się memento dla czytelnika, jakby

autor chciał przez nie ostrzec swych ludzi: — Mieście się na baczności: Piotr Starożew i Antonow żyją!

Tempo narracji w powieści Wirty ulega częstym zmianom. Wiele spraw, wiele historycznych wypadków autor kwituje kilku słowami, gdzie indziej cofa się w przeszłość, ukazując ją w bardzo plastycznych, pełnych życia obrazach. Często blady pozornie fakt wyraża na cały, szeroko rozprawiony motyw, nie zawsze zresztą niezbędny w całości utworu, wiele postaci chciałoby się poznać bliżej, zaciekawiają nas od pierwszej chwili, lecz autor nie zapakaj naszej ciekawości, rozstraja się z nimi. Dopiero w drugiej a właściwie szerzej dopiero w trzeciej księdze postać Piotra wysuwa się na plan pierwszy niemal niepodzielnie. Jego samotne wędrówki po lasach, jego niepotrzebne, rozpacliwe zbrodnie są opisane z dużym mistrzostwem. Postać Piotra dzięki tym właśnie partiom staje się niezapomniana, tak samo jak niezapomniane, bogate, pełne tempa i realistycznej wymowy, niekiedy drastyczne, ale zawsze utrzymane na wysokim artystycznym poziomie — są sceny batalistyczne, opisy pijackich, krwawych orgii antonowców, dramatycznej ucieczki oszukanych przez Antonowa chłopów przed oddziałami czerwonych i wiele innych. Wiele czaru natomiast i głębokiego liryzmu posiada opis wsi, która po zduszeniu kulackiego powstania zaczyna żyć spokojnym, radosnym życiem. Opisy przyrody posiadają urok, opisy Wirty są zmysłowe: pełne barw, zapachów, dźwięków. Autor doskonale podpatrzył chłopów w ich mozelnej a przecież wzniosłej pracy, niby artystów tworzących poemat życia. Lecz ani liryzm, ani bogate opisy przyrody — nie mają nie wspólnego z melancholijną sielanką. Bohaterowie Wirty oraz otaczający ich świat — to niezafaszowane elementy realnego życia o określonym obliczu, o bogatej, bardzo różnorodnej treści, to rzeczywistość sprawdzalna, zrodzona z doświadczenia — poetycka prawda o człowieku. Przekład powieści na język polski, dokonany został bardzo starannie i zachował wszystkie jej charakterystyczne cechy, przenosząc je umiejętnie w system odczuwania właściwy polskiemu językowi.

Aleksander Jackiewicz

Przykład literaturoznawstwa radzieckiego

(Dokończenie ze str. 2)

powania zainteresowań badawczych, czy czasnego użyciu, wyłącznej służby popularizatorskiej. Przeciwnie! Należy równoprawnie wszelką *problematykę naukową* i filologiczną, i estetyczną, i biograficzną, i historyczną. Ale nie może to być jednoznaczne z zapoznaniem z *społeczną hierarchizacją tematów* prac naukowych i z *zasadami dążenia do poprawności metodologicznej prac badawczych*. Często oskarża się marksistów o niezważanie *równoprawienia problematyki naukowej*, co jest nieprawdą, i milczkiem przemycia się przy okazji postulat *anarchii w wyborze tematyki naukowej i eklektyzmu w metodologii nauk*.

Potrzeba społeczna mówi, że możemy poczekać na prace np. o rytmice prozy Prusa¹⁾. Ale nie możemy czekać na pracę o obliczu ideowym jego sztuki. Bo musimy wiedzieć, o ile dorobek pisarza Prusa należy do naszego zasobu postępowych tradycji kulturalnych, które chcemy uczynić trwałą zdobyczą kultury Polski Ludowej. A ma to znaczenie praktyczne, bo naszymi badaniami będzie się posługiwała polityka kulturalna realnie upowszechniająca te cenne tradycje.

Taka próba oceny Prusa może być podjęta z punktu widzenia problematyki biograficznej, bo fakty z życia Prusa odpowiednio zebrane pomogą nam wiele do wyjaśnienia jego drogi ideowej. To samo zagadnienie może być oświetlone częściowo w zasięgu problematyki estetycznej, bo jedną z istotnych spraw przy ideowej ocenie Prusa jest estetyka realizmu jego dzieł. Można to zagadnienie ująć z filologicznego punktu widzenia, bo ważny tu jest stosunek Prusa do wstecznej lub postępowej tradycji literackiej. Nie objętna tu będzie problematyka psychologiczna, bo przecież Prus jako człowiek dawał się porwać postępowi swego czasu i ugiął się pod naporem wsteczności.

Rozumiemy się? Nie warto mnożyć przykładów. Wszelka problematyka istotnie naukowa jest równoprawna, bo dopiero rozważanie wszystkich problemów pozwala rozstrzygnąć nasze centralne zagadnienie historyczno-literackie. Równoprawniamy problematykę, lecz wybór tematów uzależniamy od ich społecznej hierarchii. Dlatego studujemy przede wszystkim pisarzy postępu, a nie reakcji. Przed innymi poruszamy te zagadnienia pomocnicze, które ułatwiają nam podstawowe zadanie społeczne: wydobycie polskiej postępowej tradycji literackiej. Ita, itd.

Ważnej pomocy metodologicznej należy szukać również pod tym względem w radzieckiej nauce o literaturze. Znajdujemy tam piękne prace uwzględniające pełny zakres wszelkiej naukowej problematyki literackiej, o tematach społecznie scharakteryzowanych, odznaczające się nowatorstwem i poprawnością metodologiczną. Dobrą praktyczną ilustracją moich tez mógłby być np. tom 47/48 Wydawnictwa „Literaturnoje nasledstwo” poświęcony poznaniu i ocenie twórczości Gribojedowa z charakterystycznym doбором rozpraw: Orłowa o *artystycznej* problematyce Gribojedowa i jej ideologicznym, społecznym sensie. Nieckinej o stosunku Gribojedowa do dekabrystów, o *politycznej ideologii* pisarza, Tynianowa o *biograficznej* interpretacji tematyki komedii „Bieda z tym rozumem”

1) Na pierwszym powojennym zjeździe polonistów powiedziano parę przyczynkarskich referatów o pozytywizmie. Ale znalazł się tam i odpowiednik mego fantastycznego, krańcowego, zdawałoby się celowo absurdalnego przykładu o rytmice prozy: „Intelektualizm” prozy Świętochowskiego na tej jej kształtu rytmicznego”. Tylko tego brakowało nam do pełnej wiedzy o Świętochowskim!

i praca Asmusa o teźże komedii jako zagadnieniu *estetycznym*. Nie trzeba uzasadniać, jak poznanie dzieła i życia Gribojedowa jest społecznie ważne dla Związku Radzieckiego, jak istotny element postępowej rosyjskiej tradycji literackiej stanowi ta twórczość. Cytowane przy tym prace są istotnie naukowo krytyczne, dają marksistowską interpretację zjawiska literackiego, badanego z różnych punktów widzenia, z punktu widzenia rozmaitej problematyki naukowej.

I nam nie wolno tolerować eklektyzmu metodologicznego. Waleczymy o prawdziwą naukę. Waleczymy z reakcyjnymi tendencjami metodologicznymi. Waleczym z reakcyjnymi wpływami klasowymi w nauce.

W ciągu ostatnich lat pisano w Polsce o wartościach metodologii marksistowskiej. Sięgniemy do prac radzieckich, aby gruntownie poznać problematykę marksistowskich badań literackich. Jest to tym pilniejsze, że nawet postępowi humaniści identyfikują marksistowskie literaturoznawstwo z socjologią literatury (Chalasiński w „Myśli Współczesnej” Nr. 6/7 r. 1949, Korzeniowska w „Odrodzeniu” Nr. 40. 2.X.1949 r.) a przecież marksizm uznaje problematykę „socjologiczną” tylko okolicznych, które wylczył.

Literaturoznawstwo marksistowskie różni się od burżuazyjnego nie jakoś jednostronną problematyką, ale światopoglądem naukowym. (Co to znaczy, bliżej wyjaśnia „Anty-Dühring” Engelsa). Marksista wie, po co podejmuje poszukiwania biograficzne czy genetyczne, wie, ku jakiej syntezie dąży i umie postępować w humanistycznie, w sposób metodologicznie poprawny, opierając się na naukowej teorii materializmu historycznego. A co najważniejsze, tworzy naukę, która służy postępowi, walce klasowej mas ludowych.

Od nauki radzieckiej winniśmy nauczyć się postępowej ideologii naukowej i nieubłaganej konsekwencji metodologicznej — podstawowego warunku wszelkiej prawdziwej nauki. Musimy nauczyć się także stylu bezkompromisowej dyskusji i krytyki naukowej, bo jak mówi Lenin: „Ludzie istotnie przeświadczeni, że posunęli naukę naprzód, zdążyli by w wolności istnienia nowych poglądów obok starych, lecz zastąpiwszy ich starych przez nowych”.

ZWIĄZEK Z ŻYCIEM I WSPÓŁCZESNOŚCIĄ

Polonistka nasza, jak się mówiło, nie dość służy życiu. A tej sztuki najlepiej można się wyuczyć u badaczy radzieckich. Zarówno jeżeli chodzi o potrzeby szkoły, jak i o potrzeby upowszechnienia kultury, jak i o potrzeby budowania nowej kultury występującej z nowego ustroju, współtworzącej nowy ustrój.

Szkola. Nigdzie nie spotykałem tak wysokiej kultury podręcznika, jak w ZSRR. Kto nie wierzy — niech się przekonają; prozę wzięć dowolnie podręczniki francuskie czy angielskie dla liceów nauczycielskich z zakresu literatury ojczystej i porównawczą zawarte w nich charakterystyki np. klasyki, porównawczą pod względem poprawności naukowej, precyzyj dydaktycznej, prostoty i jasności z charakterystyką rosyjskiego klasycyzmu w podręczniku A.A. Kawaja (Ruskaja literatura 1949).

Upowszechnienie wiedzy literackiej. Prozę zestawia plan naukowy naszego roku mickiewiczowskiego — przyczynkarski i oderwany tom Pamiętnika literackiego — z lawiną broszur najwybitniejszych badaczy (np. dwie prace Błagoja, książeczki Mejłacha, Gudźija i in.) poświęconych popularyzacji Puszkina z okazji jego tegorocznego jubileuszu.

Prozę zwrócić uwagę, jak treści tych broszur wprowadza Puszkina do codziennej walki szeregowego obywatela radzieckiego

o komunizm, o postęp, o pokój, o humanizm. To nie są książki z nudną, belferską trawą niepotrzebnej erudycji. To są książki współczesne te same wartości, o które walczą każdy robotnik i kolchoźnik radziecki.

Tworzenie nowej kultury. W ostatniej moskiewskiej dyskusji o krytyce powiedziano: „jak można rozpatrywać prawidłowo przeszłość literatury nie będąc aktywnym uczestnikiem tworzenia literatury komunizmu?” (Radiejew). Głębokie znanstwo literackie uczono winno służyć polityce kulturalnej kraju, winno torować drogę ideologicznemu nowatorstwu literatury naszej epoki — tego uczy aktualna walka o postęp literaturoznawstwa w Związku Radzieckim.

DO MŁODYCH POLONISTÓW

Jakże często młodzi polonisci przypominają mi czesnika Sopleć z opowiadań Rzewuskiego. Krytykował u szczyku XVIII w. Woltera ze słyszenia, nie zaś francuskiego.

Dziś nie można pracować naukowo na polu badań literackich bez rosyjskiego. Znajomość tego języka otwiera jedne wielkie horyzonty naukowe naszej epoki. Tak jak nie można było być uczonym nowatorem w XVIII wieku bez znajomości francuskiego, nie wystarczała najlepiej opanowana łacina.

Nie sądzę, abym w tym artykule wyczerpał wszystko, czego możemy i powinniśmy nauczyć się od radzieckiej nauki o literaturze.

Nie sądzę, abym wyczerpał chociaż sprawę najważniejszą. I nie znam wszystkiego sam dość dobrze. Raczej staję u brzegu tego morza. I nie da się ten ogrom zagadnień zamknąć nawet w tak przydługim artykule. To też wiele zostaje dla młodych. Ci, mam nadzieję, już systematycznie i gruntownie poznają naukę radziecką. Będą robić przeto o wiele mniej błędów, niż ja i mnie podobni. Mam pewność, że nauka radziecka rozwijająca się wspaniale będzie dla całego pokoleń przynosić ogrom cennych pożytków.

Oczywiście nikt nas nie wyręczy w pracy. Polonistykę muszą robić polscy polonisci. Lecz uczmy się od przyjaciół, jak pracować sprawnie, celowo, skutecznie, dla ludzi, dla rozwoju wiedzy, dla postępu ogólnoludzkiego i socjalizmu w naszym kraju. Literaturoznawstwo radzieckie cechuje właściwość w nauce najcenniejsza — szybko i stały postęp. W ogniu krytyki i samokrytyki idzie milowymi krokami naprzód. Nie ma w Związku Radzieckim syntez i ważnych monografii, jak u nas, po 20 — 30 lat nie rewidowanych. Różnie np. puzkniologii radzieckiej przed laty 10 i dzisiaj świadczy, że tam dziesięciolecie daje nie tylko nowe fakty, ale nową zasadniczo poglądową, zasadniczo bliższą rygorom pełnej naukowości, kapitalną koncepcję. A co się dzieje np. z naszą mickiewiczologią?

Nauka nie rozwija się jako jeden potok stałe rosnący i doskonalący się. Rytm rozwoju nauki odpowiada rytmowi rozwoju społecznego. Upadek burżuazji idzie w parze z degeneracją nauki burżuazyjnej. Nie można tu po przyczynkarsku kontynuować. Potrzebny jest przełom. Potrzebuje go dziś także polonistyk. Naszym głównym zadaniem jest utworzenie nowych dróg wiedzy o literaturze.

Ważna sprawa nie jest subtelne cieniowanie sądów i dosytnowanie jeszcze swojej miarki uzupełnień. Ważną sprawą na dziś jest jasne zrewidowanie zasadniczych stanowisk. Odnowa, unaukowanie, uwspółcześnienie historii literatury i krytyki, które umożliwiła marksizm. W tej pracy napewno nieocenioną pomocą, przewodnikiem może być pionierski, uparty trud radzieckiej myśli literaturoznawczej.

Stefan Żółkiewski



Najlepsza droga

Był niepiśmiennym chłopem leżgińskim z dalekiego Dagestanu na Kaukazie. Ale był i niepoślednią miary poetą. Wiersze układał w pamięci i w pamięci przechowywali je sąsiedzi z paru okolicznych autów. Nazywał się Sulejman Stalski. „Pieśń moją — referuje jego słowa Effendi Kapijew (Lak z pochodzenia) w pięknej książce pod tytułem „Poeta” — zwykłem był układać w polu podczas pracy. Wracając przed wieczorem do domu, przylgając się do przyjaciół i recytowałem im to, co za dnia ułożyłem. Anim się spozstrzegł, że pieśni moje zaczęto powtarzać w aule. Sam ich nie śpiewałem i nie zapisywałem”.

Raz wtrącono do więzienia starego ogrodnika z aulu. Sulejman Stalski ułożył o tym buntowniczą pieśń i wygłosił ją w gronie przyjaciół odpoczywających wespół z nim nad źródłem. Usłyszał to przechodzący tamtędy mułła, zmierzyl poetę kosturym i wrzasnął:

— Kto to słyszał, żeby byle krzykacz uczył carskich sędziów? Chwoście parszywy! Twoja rzecz — to wisieć z tyłu, a myśleć za ciebie, dzięki Bogu, kazano głowie. Czyś widział gdzie, żeby kto chodził tyłem do przodu?

Historia Sulejmana Stalskiego, wybitnego poety leżgińskiego, którego po Rewolucji Październikowej czytały wszystkie narody w Związku Radzieckim, jest historią typową. Bo kultura w Rosji carskiej — podobnie jak w innych krajach kapitalistycznych — była dostępna jedynie tak zwanej „górce społecznej”, była częścią jej stanu posiadania i dodatkowym ramieniem jej władzy. Dane statystyczne za rok 1914 wykazują 73 proc. analfabetów w imperium Romanowów. Potworna wymowa tej cyfry wrosło jeszcze bardziej, gdy nie będziemy wyciągać średniej arytmetycznej dla całego imperium, a ujmemy oddzielnie rozmiary analfabetyzmu poza Rosją Centralną, na ovm „chwoście parszywym”, na ovm nieskończonych „peryferiach” zamieszkałych przez mnóstwo różnojęzycznych ludów. Tam analfabetyzm obejmował nieraz całe społeczeństwa. Było dosłownie tak, jak to określił Lenin: „W pańszczyżnianym ustroju ówczesnej Rosji 4/5 młodego pokolenia skazane było na analfabetyzm. Na odcinku wydawniczym prowadzono taką samą politykę utrzymania najszerszych warstw w ciemności i niewiedzy”.

A jak te sprawy wyglądają dzisiaj? Z jakich dóbr korzystają kwitnące ekonomicznie nierosyjskie republiki Związku Radzieckiego?

Należy chyba zacząć od tego, że w całej Rosji carskiej jedynym oficjalnym językiem był język rosyjski. Kultura narodów nierosyjskich przechowywała się głównie w chwiejnej i ciemnej tradycji ustnej, nie mając odpowiednich warunków do zintwentaryzowania swych dóbr. Narzędziem walki była również ustna tylko poezja ludowa takich poetów jak Sulejman Stalski.

Dziś na terenie całego Związku Radzieckiego nie ma ani jednego narodu, który by nie posiadał swego własnego alfabetu i swego własnego piśmiennictwa wzbogaconego o przekłady z wielkich literatur innych narodów i dzieł klasyków socjalizmu. Dziś produkcja piśmiennicza w ZSRR wydawana jest w 119 językach. W r. 1946 łączny nakład książek wyniósł 463,7 miliona egzemplarzy, wśród których nie ma ani śladu komercyjnej literatury „rewolwerowej” i pornograficznej, tyle miejsca zajmującej w publikacjach krajów kapitalistycznych. W Uzbekistanie, w Gruzji, w Armenii, w Azerbejdżanie i w Turkmenii czyta się Kartezjusza i Woltera, Balzaka i Gogola, Mickiewicza i Puszkina, Dickens i Tolstoja. A kolchoźnik z Centralnej Rosji, z Białorusi lub z Ukrainy może sięgnąć ręką do przetłumaczonego na swój własny język Rustawelowa, Tumaniana Owanesa lub Achundowa Mirza Fatalego.

Sulejman Stalski, niepiśmienny poeta leżgiński, otrzymał pewnego razu dwa listy następującej treści:

1. „Bardzo lubię Pańskie wiersze i dlatego ojciec kupił mi Pańską książkę w dniu, kiedy zdałem dobrze egzamin”.

2. „Wiele Szanowny Sulejmanie, jeżeli rząd podaruje Wam auto, proszę żebrać mnie do siebie za sofa... Mam lat 27, sześciolatnią praktykę szoferską... Adres: miasto Orzeł itd.”.

Stary Sulejman, któremu w okresie przedrewolucyjnym przysługiwała jedynie rola dzikusa eksploatowanego przez wszystkich a bitego nawet przez rodzimego mułłę, przestał być dzikusem. Jego poezja stała się wspólnym dobrem wszystkich narodów socjalistycznych. Należy to do zjawisk równie pięknych, jak piękna jest poezja Sulejmana.

Te opowieści, fakty i dane przysły mi na myśl, gdy ostatnio czytałem w prasie krajowej i radzieckiej artykuły poświęcone Dekadzie Literatury Tadzyckiej. Cała Moskwa napelniła się barwnymi jedwabiami ludzi z Tadżykistanu, którzy jeszcze trzydzieści parę lat temu stali poza obrebram kultury, chociaż ongi — w czasach, gdy za ledwie tworzyło się państwo polskie — wydali wielkiego epika Firdusiego. Wiem, że ich kraj, leżący u stóp Pamiru, ma dziś swój własny uniwersytet i 3.000 szkół. Już to stanowi dostateczną rekojmie, że współczesna literatura tadżycka jest godną poznania. Chciałbym ją jak najrychle poznać w polskich przekładach, a Tadzycykom pokazać Mickiewicza, o ile go dotąd jeszcze nie znają. Nie ma bowiem lepszej drogi do zbliżenia się jak najdalej do siebie niż wzajemne poznanie wielkich poetów i wzajemna wymiana dóbr kulturalnych. Jest to zarazem najlepsza droga pokoju.

Kandyd

RADZIECKA EKIPA CHOPINOWSKA

POLSKA EKIPA CHOPINOWSKA

Noty



Jerzy Murawlew

Polityka w listach

Pamiętamy jeszcze niedawny list Piusa XII do biskupów polskich, list pełen świadomości kłamliwych twierdzeń mających stworzyć wrażenie, że w Polsce religia jest w jakiś sposób prześladowana, że ogranicza się wolność sumienia katolików itd. Pamiętamy reakcję opinii polskiej na ten oszczerczy dokument pisany z inspiracji amerykańskich patronów Watykanu.

I oto dowiedzieliśmy się ostatnio o nowym liście — tym razem polskiego dostojnika kościelnego, prymasa Wyszyńskiego, do prefektów i nauczycieli religii. Pisany w tym samym duchu i w imię tych samych celów, co list papieża, dokument ten „konkretyzuje” „ramowe” fałszywe zawarte w liście watykańskim. Obrażając nasze idee i ofiarnie pracujące nauczycielstwo zarzu-



Tamara Gusiewa



tem karierowiczostwa, obrażając naszą młodzież zarzutem bezideowości i bezwładu, próbując w przejrzysty sposób podburzyć młodzież przeciw jej wychowawcom i wywołać rozdziewki w szkole — list prymasa zasługuje na stanowcze napiętnowanie jako akt wybitnie polityczny. Zresztą dokument ten wywoła napewno niesmak i zakłopotanie w patriotycznym odłamie duchowieństwa, które z własnej praktyki zawodowej doskonale wie, jak bardzo niezgodne z prawdą są twierdzenia zawarte w liście prymasowskim. Dla całej zaś opinii polskiej ten akt reakcyjnej dywersji jest jeszcze jednym dowodem, że postawa i praktyka polityczna Dostojnego Autora tego listu pozostaje — jak dotąd — niezmiennie sprzeczna z interesami państwa i narodu. rdc



Eugeniusz Malinin

Echa niemieckiej podróży Tomasa Manna

Tomasza Manna podróż do Niemiec poprzedziły napomnienia władz okupacyjnych stref zachodnich oraz jawne pogroźki gazet w Bizonii, które ostrzegały wielkiego pisarza przed wyjazdem do strefy radzieckiej. Wszakże autor „Góry czardziejskiej” nie dał się nastraszyć i wziął udział w uroczystościach goethowskich w Weimarze. Odwiedzając obie strefy, wschodnią i zachodnią, Mann dał wyraz swojemu przywiązaniu do zjednoczonych Niemiec, do niepodzielnej, postępowej kultury niemieckiej, której nie identyfikował z kulturą „republik związkowej” nr.



Ludmila Sosina



Cłoya. Krok ten spotkał się z naganą niemieckich publicystów, którzy rozpoczęli w prasie zachodniej nagonkę przeciw najwyżsiemu prozaielowi Niemiec współczesnych.

Tomasz Mann nie pozostał dłużny odpowiedzi. W wywiadzie udzielonym szwedzkiemu dziennikarzowi Olbergowi dał należytą odprawę niemieckim neofaszystom.



Wiktor Mierżanow

Niedawno A. Fadlejew w artykule „O krytyce literackiej” zwrócił uwagę na konieczność zlikwidowania sztucznego rozdziału pomiędzy krytyką literacką a nauką o literaturze. W tej rozbieżności, która wynika z faktu, że krytyka literacka zajmuje się wyłącznie współczesnymi zjawiskami literackimi, a nauka o literaturze ogranicza się wyłącznie do przeszłości, upatruje Fadlejew źródła słabości obu gałęzi krytyki. Bez wątpienia owa rozbieżność powstała na tle niedostatecznego opanowania przez literaturoznawców marksistowsko-leninowskiej metodologii badań zjawisk literackich, z nieumiejętności powiązania zagadnień literatury z bieżącymi zagadnieniami polityki kulturalnej, partii i rządu radzieckiego.

Dla nauki o literaturze oderwanie od współczesności pociąga za sobą jak najgłębsze skutki. Mamy zresztą przykład tego i u nas: wystarczy wspomnieć autentyczne powiedzenie jednego z profesorów literatury, który oświadczył kiedyś swoim studentom, że dla niego literatura polska kończy się na Asnyku.

W Związku Radzieckim zagadnienie to posiada również ostry charakter. Trudno przecież mówić o postępowej teorii literatury, gdy autorzy prac literaturoznawczych świadomie wyrzekają się doświadczeń i osiągnięć współczesnej postępowej literatury radzieckiej.

Artykuł Fadlejewa wywołał silny odzew w prasie radzieckiej. W jednym z ostatnich numerów „Literaturnoj Gazety” E. Kowalczyk słusznie dowodzi, że prace tego rodzaju uczonych cierpią na „apolityczność i obiektywizm”, obiektywizm w tym wypadku mający wyraźny charakter bezcelowego, pseudouczonego dreptania w miejscu. Prace tego rodzaju nie posuwają naprzód nauki, sprowadzając się jedynie do badań wzajemnej zależności utworów czy wątków literackich, pomijając momen-



Bella Dawidowicz Rys. Helena Cygańska-Walicha

„W strefie wschodniej — oświadczył Mann — nie spotkałem się z brudnymi, oszczerczymi listami ani ze szmatławymi artykułami, jak to się zdarzyło na zachodzie”. Wychowanie narodu, według słów Manna, „wykazało w strefie wschodniej większą troskę, gdy chodzi o szacunek dla duchowej osobowości humanisty”. Wreszcie Tomasz Mann stwierdził, że każdy obiektywny człowiek musi uznać zasługi państwa ludowego, które przede wszystkim „zamknęło usta głupocie i bezczelności”. Mann, który w wywiadzie podkreśla, że nie jest komunistą, oświadcza, że „nie można sobie wyobrazić przyszłości bez elementów komunistycznych”. O wrażeniach weimarskich Mann powiada między innymi: „Widziałem ludzi, na których czołe wypisane są słowa dobrej woli i czystej ideowości. Widziałem twarze ludzi, którzy pracują osiemnaście godzin dziennie i poświęcają się, aby urzeczywistnić to, co wydaje im się prawdą, i stworzyć takie warunki społeczne, które uniemożliwiłyby powrót wojny i barbarzyństwa”.

Niniejsze słowa zakwalifikował sławetny „Tagesspiegel” w oszczerzym artykule pewnego profesora uniwersytetu jako „ukryte przyznanie się do przemoicy”, które „podkopuje fundamenty demokracji i kultury”.

„99 Professoren, Vaterland, du bist verloren” — jak mawiano w Niemczech w 1848 roku. Ale to były inne czasy. rk

Czarująca opowieść miłosna

„1984” — to tytuł powieści George’a Orwell’a, którą uznano w tym roku za „best-sellera” literatury amerykańskiej. Sam autor został obwołany amerykańskim Dostojewskim, jego powieść przedrukowano w odcinkach w arcyreakcyjnym „Readers Digest”, a „Life” poświęcił omówieniu tego dzieła osiem wielkich kolumn.

Po odczuciu z entuzjastycznych głosów krytyki amerykańskiej zaglądamy do tekstu. Akcja rozgrywa się w roku 1984, kiedy to — w myśl przepowiedni autora — kapitalizm zostanie zlikwidowany, a świat



podzielony na trzy „socjalistyczne” krainy. Bohaterem powieści jest Winston Smith, który buntuje się przeciw „pijanym władzom socjalistycznym”. A oto fragment rozmowy Smitha z Julią, która również buntuje się przeciw manipulacjom szefów:

— Słuchaj! Im więcej posiadałaś mężczyzn, tym bardziej cię kocham. Rozumiesz?
— Oczywiście.
— Nienawidzę czystości. Nienawidzę dobra. Chcę, aby cnota zaginęła. Chcę, aby każdy był zepsuty do szpiku kości.
— W takim razie odpowiadamy sobie. Jestem zepsuta do szpiku kości.
— Czy chętnie się oddajesz? Nie myślę tylko o sobie; mówię to w ogóle.
— Chętnie, to jest moim żywiołem.
To chciał usłyszeć. Nie miłość do określonego człowieka, lecz zwierzęcy instynkt, prymitywne pożądanie; oto siła, która rozzerwie partię (scilicet socjalistyczną w kawalki).

Powyższą scenę „Life” nazywa „czarującą opowieścią miłosną”.

A teraz inny fragment rozmowy bohatera powieści z człowiekiem upatrzonym na wodza „ruchu oporu” przeciw „tyraniu”:

— Czy jest pan gotów oszukiwać, fałszować, deprawować dusze dzieci, truć, popierać prostytucję, szerzyć choroby weneryczne — czynić wszystko, aby powodować demoralizację i osłabić moc partii?

— Tak jest.
— Jeśli zajdzie potrzeba, oblać twarzyczkę dziecka kwasem siarkowym — czy jest pan gotów to zrobić?
— Tak jest.

itd. itd. itd.

A to jest chyba „czarująca opowieść polityczna”, rk.

Urzędowa perypetia

Wpadło mi niedawno załatwić pewną ważną, ale nieskomplikowaną i jasno udokumentowaną sprawę w Starostwie Grodzkim miasta Kielce. Sprawa wymagała szeregu załączników. Wśród nich znajdował się jeden odpis, którego zgodność z oryginałem miała być potwierdzona przez odnośny wydział Starostwa Grodzkiego, po czym nie byłoby już żadnych przeszkód do wystawienia dokumentu, który mi był potrzebny. W gruncie rzeczy więc chodziło jedynie o dwa podpisy: o podpis na załączniku i o podpis na dokumencie oryginalnym, który Starostwo Grodzkie miało wydać na gotowym, drukowanym, stereotypowym formularzu.



I taką właśnie sprawę załatwiałem przez trzy dni, ponieważ naczelnik odnośnego wydziału, prezydent i jeden z wiceprezydentów byli nieuchwytni ze względu na serie posiedzeń, a drugi z wiceprezydentów korzystał akurat z normalnie przysługującego mu urlopu. Przez trzy dni nie miał kto przejrzeć i podpisać dwóch papierków. Referentowi prawo podpisu nie przysługiwało.

Oczywiście, że w końcu sprawę załatwiono, ale przedtem zdążyłem stracić trzy dni czasu. Należy przypuszczać, że nie mający dostatecznego obycia z manipulacjami biurowymi robotnik którejś z kieleckich fabryk załatwiłby identyczną sprawę znacznie dłużej, psując krew i sobie i urzędnikom.

Mówię o tym wszystkim, ponieważ perypetia urzędowa, której doznałem w Kielcach, wydaje mi się społeczeństwu bliźniaczo podobna; wszyscy jej aktorzy są w porządku, być może, wszyscy byli wzywani na ważne posiedzenie lub też takie posiedzenia musieli zwołać. Jest to jednakże porządek pozorny i formalistyczny, bo kiedy nie wchodzi w grę żadna z klęsk żywiołowych — dla urzędu publicznego nie ma ważniejszej sprawy niż szybkie załatwienie stron, a w każdym razie posiedzenia nie mogą dezorganizować normalnego funkcjonowania biur. Podobnie jak nie można zwać jednocześnie na odprawę wszystkich milicjantów pełniących służbę na mieście.

Z milicją tak się — na szczęście — nie dzieje, ale w biurach bywa tak nieraz. Tego nie można niczym usprawiedliwić, chociaż każdy ma się czym wytłumaczyć. Bo zmysł organizacyjny jest pierwszą, podstawową i obowiązkową cnotą kierownika instytucji. Są cnoty, których nie można nie praktykować. Im



Ryszard Bakst



Halina Czerny-Stefańska



Waldemar Maciszewski



Zbigniew Szymonowicz



Regina Smendzińska



Władysław Kędra Rys. Helena Cygańska-Walicha

KRONIKA RADZIECKA

Dyskusja o literaturoznawstwie i krytyce

Niedawno A. Fadlejew w artykule „O krytyce literackiej” zwrócił uwagę na konieczność zlikwidowania sztucznego rozdziału pomiędzy krytyką literacką a nauką o literaturze. W tej rozbieżności, która wynika z faktu, że krytyka literacka zajmuje się wyłącznie współczesnymi zjawiskami literackimi, a nauka o literaturze ogranicza się wyłącznie do przeszłości, upatruje Fadlejew źródła słabości obu gałęzi krytyki. Bez wątpienia owa rozbieżność powstała na tle niedostatecznego opanowania przez literaturoznawców marksistowsko-leninowskiej metodologii badań zjawisk literackich, z nieumiejętności powiązania zagadnień literatury z bieżącymi zagadnieniami polityki kulturalnej, partii i rządu radzieckiego.

Dla nauki o literaturze oderwanie od współczesności pociąga za sobą jak najgłębsze skutki. Mamy zresztą przykład tego i u nas: wystarczy wspomnieć autentyczne powiedzenie jednego z profesorów literatury, który oświadczył kiedyś swoim studentom, że dla niego literatura polska kończy się na Asnyku.

W Związku Radzieckim zagadnienie to posiada również ostry charakter. Trudno przecież mówić o postępowej teorii literatury, gdy autorzy prac literaturoznawczych świadomie wyrzekają się doświadczeń i osiągnięć współczesnej postępowej literatury radzieckiej.

Artykuł Fadlejewa wywołał silny odzew w prasie radzieckiej. W jednym z ostatnich numerów „Literaturnoj Gazety” E. Kowalczyk słusznie dowodzi, że prace tego rodzaju uczonych cierpią na „apolityczność i obiektywizm”, obiektywizm w tym wypadku mający wyraźny charakter bezcelowego, pseudouczonego dreptania w miejscu. Prace tego rodzaju nie posuwają naprzód nauki, sprowadzając się jedynie do badań wzajemnej zależności utworów czy wątków literackich, pomijając momen-

ty ideowe i polityczne — reprezentują dawne, burżuazyjne, idealistyczno-formalistyczne poglądy na literaturę.

Nawet w rozprawach o charakterze ogólnym — jak pisze E. Kowalczyk — literaturoznawcy nie umieją się zdobyć na określone wnioski i holdując rzekomemu obiektywizmowi, fałszują naszą wiedzę o literaturze. Jako jeden z przykładów podaje E. Kowalczyk rozprawę profesora Pospielowa pod tytułem: „Zagadnienie romantyzmu”. Prof. Pospielow łączy na przykład tak ideologicznie przeciwstawnych sobie pisarzy, jak z jednej strony Puszkina, Kuchelbecker, Bestużew, Marliński, a z drugiej — Pogodin i Szewyriow, sztandarowi przedstawiciele carofilskiej literatury, jedynie na tej podstawie, że dla wszystkich tych pisarzy teoria romantyzmu była „przede wszystkim programem literackim, w którym uświadomili sobie swoją twórczą postawę, swoje własne tendencje poetyckie, w którym odsuwali się od innych, obcych postaw twórczych i przelamywali je niekiedy nawet sami w sobie”.

Pojęcie „programu literackiego” w interpretacji Pospielowa — pisze E. Kowalczyk — wyklucza całkowicie moment ideologiczny, polityczny, sprowadzając się jedynie do samych chwytów literackich. Wbrew faktom życia Pospielow sztucznie rozszepca rozdzieloną jedność literatury i polityki. Rozprawę Pospielowa E. Kowalczyk nazywa „herbarium rozmaitych wywodów o romantyzmie, ułożonym z wyraźną tendencją do wyniesienia burżuazyjnej nauki o literaturze, jej metod i sposobów wnioskowania”.

Działalność zamkniętą na sposób cechowy, wyodrębniających się od żywych potrzeb rozwoju naszego społeczeństwa uczonych znawców literatury jest bezpodłna, a niekiedy wprost negatywna, jeśli chodzi o współczesność. Formalistycznymi metodami badawczymi nie są oni w stanie ani

wyjaśnić problemów przeszłości ani też wskazać nieprzemijalnego dla nas znaczenia literatury klasycznej.

Tęgo rodzaju postawa uczonych jest, zdaniem autorki artykułu, wynikiem jednego z przesądów, że uogólnienie naukowe możliwe jest rzekomo tylko na podstawie zjawisk, które zakończyły już swój rozwój, które stały się przeszłością. Nauce pozostawia się prawo mówienia o przeszłości i nie pozwala się wtrącać do żywego życia. Nie daje się jej kierować jego rozwojem, przewidywać przyszłości, współdziałać przy pojawianiu się rzeczy nowych. Nie ma potrzeby dowodzić, jak bardzo tego rodzaju pogląd obcy jest marksizmowi-leninizmowi i tradycjom rosyjskiej rewolucyjno-demokratycznej krytyki. sp

TREŚĆ NR. 40

Seweryn Pollak — O czujności poetów; Louis Aragon — Piosenka Jana z Chauny; Ryszard Matuszewski — O pojmowaniu kultury klasycznej; Nowe przekłady poezji radzieckiej; Aleksander Blok, Edward Bagricki, Aleksander Twardowski, Aleksander Niedogonow, Stefan Szczepaczow; Konstanty Paustowski — Szczyt; M. Bulhakow — Przed pojedynkiem; Stanisław Wygodzki — Czy napiszę powieść; Joanna Guze — Z podróży po Wielkopolsce; Lech Budrecki — „Druga Ameryka” E. Caldwell; Kandyd — Goethe — grafoman; Stanisław Brucz — Maria Stuart w Państwowym Teatrze im. Stefana Jaracza w Łodzi; Noty.